



ROK LVIII

N R. 51—52

TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET

WARSZAWA, 24 GRUDNIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Pokój ludziom — *Janina Brzostowska*. Prostujmy ścieżki — *Jankowska-Orynżyna*. Czy wolno zwątpić o sobie — *C. Walewska*. Kartka z dziejów katolicyzmu w Rosji w pierwszej połowie XIX wieku (dok.) — *R. M. Blüth*. Świat kobiecy (c. d.) — *Marja Grossek-Korycka*. Jasełka św. Franciszka — *Karolina Bielańska*. Kolęda — *Zofja Rościszewska*. „Boże Narodzenie” w malarstwie — *N. Samotyłowa*. Wizje wigilijne — *Marjan Dubiecki*. Choinka — *Helena Eoguszevska*. Szczęście — *Zofja Nolkowska*. Depozyt — *Marja Jehanne Wielopolska*. Białe i czerwone — *Marja Kuncewiczowa*. Trzy dziewczynki — *Helena Ceysingerówna*. Mickiewiczowskie pamiątki w Paryżu — *M. Czapska*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Kapelusz włóczkowy. Karnawał. Co można zrobić z niemodnej sukni. Wnętrza na wystawie sztuk dekoracyjnych w Paryżu — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Lalki — *N...ska*. Jak ubrać choinkę. Estetyka w podawaniu potraw — *J. S. Wilja* na kresach wschodnich — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dział rozrywek umysłowych. ARKUSZ WZORÓW. TABLICA KROJÓW.

JANINA BRZOSTOWSKA

POKÓJ LUDZIOM

Pokój ludziom...

Niechaj nigdy groźny wojen zew
ze snu nie zrywa dzieci —
Niechaj nigdy człowiecza krew
na rękach ludzkich nie świeci —

Pokój ludziom...

Dość mamy bratnich walk —
cichą śmiercią pragniemy umierać!
Niechaj mordercza stal
oszczędzi pierś bohatera.

Pokój ludziom...

Za tym cudem, że pośród nas
stanie Pokoju kościół,
gdy już wejdziemy w szczęśliwy blask
jedynej drogi: miłości.

Pokój ludziom...

Niech ten człowiek, którego zwą: wróg,
stanie nam się bratem, towarzyszem
na najświętszej z wszystkich dróg,
tej, którą Chrystus przyszedł.

Pokój ludziom...

Niech ta droga przemierzy wzdłuż
krajną nienawiści,
niech po wiekach trwogi i burz
tęsknotę za cudem ziści.

PROSTUJMY ŚCIEŻKI



ło, które Polskę trapi, nie jest tylko kryzysem gospodarczym. Jest to kryzys moralności publicznej. W dużej mierze rozkład gospodarczy jest wywołany upadkiem etyki w społeczeństwie. Owe podskórne zepsucie, nurtujące organizm narodowy, przestało być tajemnicą, gdyż raz po raz wybuchają w postaci skandalów, wielkich defraudacji, afer, kompromitujących sfery nieraz najbardziej wpływowe, kradzieży i nadużyć, często w instytucjach najszanowniejszych. Czyż trzeba cytować przykłady? Znamy je z gazet, sytych sensacją, jesteśmy znużeni korowodem afer kryminalnych, zatykamy uszy przed krzykiem nowych dowodów bezprawia. Głosowi opinii publicznej rzadko zawierzyć dziś można, albowiem kieruje się on często poufnymi, sobie tylko wiadomymi, względami.

Kto bliżej stoi areny zabiegów politycznych, nie może nie być poinformowanym, że wyższe stanowiska stały się obiektem partyjnych przetargów, różnych wzajemnych ustępstw i koncesyj, i nie zawsze są rozdzielane podług zdolności.

Korupcja stała się rzeczą tak powszechną, że nawet czyste i uczciwe jednostki poddają się jej sugestji, sądząc, że bez jej pomocy celu nie osiągną. Wielką krzywdą narodu stała się maksyma, gorsząca najlepszych: cel uświęca środki.

W imię jej ludzie oświeceni, uczciwi skądinąd, pozwalają sobie i innym stosować haniebne sposoby przekupstwa.

Zasada ta jest fałszem i tragiczną pomyłką. Żaden cel złych środków uświęcić nie może.

Chcąc się w ten sposób podźwignąć, zapadamy się coraz niżej.

Jeżeli w urzędach i szanownych instytucjach społecznych popełniane są nadużycia, jeżeli na odpowiedzialnych stanowiskach nie stoją ludzie właściwi, jeżeli opinia publiczna głos wydaje niesprawiedliwy i stronny, a więc owych krzywizn prostować nie może, czyż może wielka machina państwa kierowana w ten sposób działać sprawnie?

Upadek moralności jest upadkiem społeczeństwa, upadkiem kultury i gospodarstwa kraju, upadkiem państwa.

Nikt inny, jak Polska, nie doświadczył w tej mierze, jaką niezwalczoną moc ma siła moralna. Wieszczowie nasi od niej czekali zbawienia, a myśmy byli świadkami, jak zwyciężyła czysta idea, wskrzeszając nam ojczyznę. Dlatego żadne względy „realne” nie powinny nam nigdy przesłaniać prostych i zawsze tych samych zasad moralnych, których nie można przekręcać, ani interpretować przy pomocy różnych kluczy partyjnych, ani tłumaczyć ich skrzywienie jakimikolwiek koniecznościami państwowymi, lub narodowymi. Zbrodnia, popełniona chociażby w imię najświętszych haseł, nie jest niczem

innem, jak tylko zbrodnią. Przekupstwo, uprawiane chociażby z intencją ratowania państwa, jest tylko przekupstwem. Oszczerstwo, rzucane na ludzi, których się uważa nawet za wrogów państwa, jest tylko oszczerstwem. Uderzmy się w piersi, my, którzy uważamy się za najmoralniejszych, stosujący do innych okrutną miarę nietolerancji i wnuknijmy w głąb własnej duszy, zapytując, czy tak czujemy istotnie.

Dziwne, że musimy sobie powtarzać te najprostsze rzeczy, ale czyny, fakty i powszechna psychologia społeczna, która ich broni, zmuszają do prostowania potwornie wykrzywionych pojęć etycznych. Powinniśmy zrozumieć, że tu leży sedno wszystkich plag, które nas trapią i być może, trapić nas będą z coraz większą siłą. I dopóki społeczeństwo tego nie zrozumie, dopóki wśród tych samych działaczy, których w ten czy inny sposób łączymy i rozdzielamy, nie wybierzemy ludzi nieskazitelnych moralnie, do których nie przylgnie żadna nieuczciwość i dopóki nie znajdziemy nowych, kryształowo czystych mężów stanu, nie można mieć nadziei na poprawę opłakanego stanu państwa i społeczeństwa.

Kobiety, które myślą i na których egzystencję rzuca cień posępny kryzys, który Polskę wstrząsa, powinny nad tem się zastanowić. Kogo jeszcze dziś sprawy te nie boją, jutro to zrozumie, wtedy, kiedy fatalna nędza powszechna przeorze mózgi. Wówczas zrozumiemy związek jaki istnieje pomiędzy szczęściem narodu, a jego moralnością.

Wówczas każdy w swoim zakresie rozpocznie odwrót z zajętych pozycji. Kupiec i przemysłowiec wyrzeknie się nadmiernych zysków, pracownik zrozumie intensywność pracy, bogaty przeklnie zbytek, partyjnik zaciekrzewiony sądzić będzie według klucza prostej i wspólnej wszystkim moralności.

Dlaczego nawołujemy kobiety, dlaczego będziemy wysłuchiwać krakania ponurych kazań, które je może mało zaciekawia?

Nie popełniają one przestępstw, ani nadużyć, i aż nadto potrafią piętnować bliźnich za drobne przewiny, rzadko grzesząc tolerancją. Nawołujemy je do rewizji tych pojęć moralnych, które wytworzyły się pod wrzaskliwą naganką dzienników. Wierzmy, że kobieta posiada pewną wrodzoną wyższość moralną, wytworzoną, już chociażby na tle tej podwójnej moralności, która dla kobiety była niepobłażliwą w sprawach natury erotycznej, a weszła niejako w krew, stała się jej dumą i wyższością nad mężczyzną, opływającym w niewybredne rozkosze. Wierzmy, że w większości kobiet zachował się szczery, niepogrzebany w obłudzie i pozorach instynkt religijny, który wrażliwość etyczną wyostrzył.

— Niechże zgodnie z prorocstwem „niewiasta zetrze głowę wężowi”, niech wyprostuje krzywizny, nabyte w owczym pędzie za przewodcami, którzy

w myśl potrzeb partyjnych wypaczyli sens odwiecznych zasad, niech pierwsza dąży do odrodzenia moralnego narodu i rozżega przywalone popiołem iskry prostych i bezstronnych prawd etycznych, niechże zapala je w duszach dzieci i młodzieży, od której zawisła przyszłość narodu. I cóż jest drażliwszego, niebezpieczniejszego, jak taka właśnie propaganda! Jak łatwo może być nudną i śmieszną i prze-

starzałą! Słów tu nie potrzeba, bo umiemy je na pamięć, trzeba tylko ażeby odzyskały sens istotny, żeby odrodziły się zawsze nowym czynem. Nie trzeba słuchać kazuistyki przewodców, trzeba wejść tylko w głąb własnej duszy i pamiętać, że nie może być moralności ani klasowej, ani narodowej, ani partyjnej, bo jest tylko jedna moralność ogólnoludzka i ta tylko nas uratować może. *Jankowska Orynyzna.*

CZY WOLNO ZWĄTPIĆ O SOBIE?



ok bieżący przyniósł nam objawy zatrważającego upadku etyki. Nigdy jeszcze kroniki wypadków bieżących w prasie codziennej nie były przepełnione takim

bezprzykładnem mnóstwem opisów kradzieży, przemieszawstw, mordów, sprzedajności, szantaży, szpiegostwa, band zbrojnych, napadających na pociągi i rabujących w najcyfliczniejszy sposób bezbronnych pasażerów, tchórzostwa tych ostatnich i małoduszności świadków popełnionych przestępstw. Skandaliczne procesy wykazują sadyzm i rozwiązłość, szerzące się wśród wszystkich klas i warstw społecznych w niebywałej dotąd formie i rozmiarach. Sprawy sądowe odślanają zgniliznę moralną nawet wśród pewnych grup młodzieży — stałych bywalców kawiarni, cukierni, dancinów. Zepsucie przedostało się do sfer urzędniczych i wybucha coraz nowymi skandalami, które burzą protestów uderzają o mury sal sejmowych.

Za wąskie pole działania dla bandytów i szantażystów wszelkiego rodzaju okazało się w kraju własnym. Uznali za stosowne zdobyć szersze placówki. Z pośród emigrantów polskich we Francji wyłoniła się zgraja łotrów — złodziei, oszustów, którzy zaczęli siać popłoch. W pismach pojawiły się artykuły „De banditisme polonais” i odtąd rubryka ta nie schodzi ze szpalt francuskich pism.

Im cięższy staje się kryzys finansowy, im bardziej — prawie z dnia na dzień — rośnie fala bezrobotnych, — tem gwałtowniej wzmacnia się orgia moralnego rozprężenia. Zdawałoby się, że jesteśmy już poza prawem, że niema więzów ani państwowych, ani społecznych, które byłyby w stanie okiełznać dra- pieżne rozpętanie.

Wojna, jak huragan, zniosła wszystkie nakazy etyczne. Demony powojenne, jak wypełzły ze skorup swoich ślimaki, nie mogąc trafić do dawnych łożysk, rozpełzły się na wszystkie strony świata, siejąc zaródz zniszczenia. Mordy, grabieże, orgia, zepsucie szerzą się nie tylko u nas. W Niemczech, gdzie niema dnia bez sprzeniewierstw — taka głośna sprawa, jak b. dyrektora banku Loebego wykazała zupełne rozprężenie moralne nawet w sądownictwie, gdzie prokuratorzy jeden po drugim — zrzekają się oskarżenia winowajcy, który ma tęgie plecy za sobą. Nawet w Ameryce, nad którą nie przeszły orkany bojowe i nawet w Szwecji, gdzie do niedawna nie było złodziei, — szerzą demony powojenne bandytyzm i przemieszawstwa. W Czechach aresztowano kapitana lotnictwa jako szpiega na rzecz Rosji.

W Sofji skradziono najcenniejsze zbiory monet muzealnych jeszcze z czasów Aleksandra Macedońskiego. O Sowietach nie mówi się już nawet. Tam kradzieże i defraudacje wśród najwybitniejszych dygnitarzy nie schodzą z porządku dziennego.

Tak więc — w zjawie katastrofalnej nie jesteśmy odosobnieni.

Ale nasze oczy zwracają się tylko ku grzbie własnego nieszczęścia, jak gdyby nie było już dla nas ratunku.

Czyż istotnie tylko mordy, zniszczenia, grabieże mamy dokoła siebie? — Czy to w kronikach bytu naszego nie rozpalają się płomienie jasnej twórczej idei, nie powiewają proporce, bohaterskich, pokojowych czynów, nie różowieją zorze szlachetnych dążeń, nie promienieją wskaźniki jutra, które budzi na-

dzieję? — Czy pozostaje nam już tylko srom i upadek, z którego nie wydzwigniemy się, jak chcą defetyści?

Położenie jest ciężkie istotnie. Matejnie — gdy stanął przemysł, zawisł handel w powietrzu i upadło rolnictwo, — może najcięższe od czasu wojny. Bo z klęski bezrobocia i z nędzy klas pracujących, które lichym zarobkiem przedłużają tylko z dnia na dzień śmierć głodową, — musimy dźwigać się sami, gdy w latach 1914—1920 karmiły i odziewały głodnych, bezdomnych różne misje zagraniczne, śląc nam dziś za to niegorzej oprocentowane rachunki.

Moralnie — stanęliśmy na jakimś martwym punkcie bezradności. Łatwiej nam było iść ławą pod Radzymin, aniżeli zwalczać przestępstwa i powściągać przysłowiowe polskie warcholstwo w chwili, gdy waży się najbrzyździejniejsze w doniosłość następstw sprawy państwowe.

I tu bolesną pociechą może być fakt, że nie jesteśmy osamotnieni. Że w parlamentach o najstarszej kulturze są bicia w pulpity.

Że we Francji, jak u nas, nie może powstać większość Sejnowa i naród wobec katastrofy finansowej szarpie się bezradnie. Że wszędzie są zmiany gabinetów i ultra prawicowe, lub ultra lewicowe wichrzenia. Wszędzie są zamachy i niema kąta nawet w starej Azji, gdzieby było spokojnie. Tylko — że gdy za uznanami potęgami państw pierwszorzędných stoja inne potęgi świata, nasz każdy krok fałszywy może być usunięciem się w przepaść.

* * *

Prof. Bujak w książce swojej o „Nauce polskiej” nazwał nas narodem „fantastycznym i nierealnym”. Dr. Stanisław Garski w swoich „Uwagach nad zagadnieniem dziejów powszechnych i polskich”, przy-



pominając podkreślany już po sto-
kroć przerost „jednostkowości“ na-
szej, każe nam „zeskromnić“, przy-
wykać do opanowania odruchów
swoich, podporządkowania się in-
teresom państwa. Prezydent Woj-
ciechowski, w którejś z mów swoich,
zwraca uwagę, „że polak w okresie
niewoli nauczył się wahać i wątpić,
więc teraz musi hartować wolę
swoją, aby czynić nieusłupliwie-
to, co nakazuje obowiązek. chę-
ciażby same przykrości i wszystkie
strachy stały na drodze“.

Trzy głosy. Każdy inaczej ujmuje
duszę polską, ale wszystkie dążą
do jednego — trzeba ją urabiać,
kształcić. Trzeba otwierać wzrok
na konieczności powszednie, któ-
rych nie zmoże jednorazowy poryw
błękitnej fantazji rycerskiej. Trzeba
ją wprzeżnąć w rydwan trudu zbioro-
rowego, aby mogła uporać się
z wymogami tych powszednich ko-
nieczności. Trzeba zleczyć tę chorą,
wątpiącą duszę narodu, aby zapew-
nić Polsce czynny udział we wszyst-
kich pracach, mających na celu
pokój starego świata i po-
tęp ogólny.

Praca to wielka, poważna, długa.
Praca — której poprzez parę po-
koleń dokonać musi szkoła i wy-
siłki całego społeczeństwa. Zwa-
tpić o możliwości dokonania jej zna-
czyłoby — zwątpić o sobie.

Czy wolno?

* * *

W porównaniu z latami poprzed-
niemi cofnęliśmy się na drodze tej
siedmiomilowej szybkości, z jaką —
po wyzwoleniu Polski — zakładaliśmy
szkoły i setki coraz nowych orga-
nizacji społecznych. Brak pieniędzy
zmusił do zamknięcia niejednej
z nich. Z szesnastu żłobków dla
niemowląt zostało tylko dwanaście.
Gdy dawniej obejmowało dwa mil-
iony dzieci, teraz — rozciąga się
co najwyżej na 50 tysięcy. Śmierć
głodowa, samobójstwa z powodu
braku pracy — to zjawiska, które
nie schodzą z rubryki wypadków
codziennych. Coraz trudniej im za-
radzić. Ludzie na gorętszego serca
stają wobec nich bezsilni.

A jednak — prężny wysiłek woli
w kierunku pracy społecznej nie
ustaje. Ciągłą taczki za sobą wy-
jątkowo silne jednostki — prawie
same, bo tylko czyn rycerski po-
ciąga za sobą zbiorowość.

Jeżeli chcemy otrząsnąć się ze
zwątpienia — jeżeli chcemy wie-
rzyć, że Polska jeszcze nie leci
w przepaść — to pomyślny o tych
bohaterach twardego, powszednie-
go czynu, którzy nie schodzą z pla-
cówek mimo zwały grud i kamieni
pod nogami. Pomyślny o ideowych
organizatorach i kierownikach każ-
dej instytucji oświatowo-społeczno-

filantropijnej. Ile nocy niespanych
w trosce o utrzymanie ich! Ile wy-
deptanych ścieżek jałmużniczych,
żeby od tych, co sami głodują, wy-
dobyć grosz dla jeszcze głodniej-
szych!

Kiedyś może — jak dla niezna-
nego żołnierza — stanie pomnik,
dla usymbolizowania trudu tych si-
łaczy serca i woli, którzy nie znają
przeszkód, gdy chodzi o dobre dzie-
ło. D konywują cudów.

Cudu dokonała kilka lat temu
Anna Bielkiewiczowa, zgromadzi-
wszy tysiąc sierot polskich z najda-
lszych krańców Syberji. Cudu do-
konał towarzysz jej pracy, dr. Ja-
kóbkiewicz, rzuciwszy się po nie
w paszczę szalejącej anarchji,
w szpony epidemii tyfusu. Nie zmógł
go bolszewizm. Nie powaliła zaraza.
Dowiózł dzieci zdrowe i całe na
miejscie punktu zbornego. Zwycię-
żyła twarda wola i wiara w koniecz-
ność czynu. Znalazł sieroty sybe-
ryjskie gościnę w Ameryce i Ja-
ponji, która kocha dzieci.

Trzeci rok są już w Polsce. A opie-
kunowie ich — kto wie? może przeży-
wają dziś dni najcięższe, tak ciężkie,
jak przełomy w całej Polsce — brak
pieniędzy na najkonieczniejsze po-
trzeby — na naukę, utrzymanie, odzia-
nie tysiąca dzieci.

Ale nie rzuca ich. Nie ustana
w trudzie. To pewne.

Czy nie dokonała cudu Matka
Ledóchowska, płomiennem słowem
swojem — osiemdziesięcioma od-
czytami o Polsce w całej Skandy-
nawji zebrawszy sześć milionów na
dzieci polskie, dla których założyła
ochrony, seminarja, tkalnie kilimów,
szkoły ludowe w różnych środo-
wiskach Rzeczypospolitej i prowa-
dzi je — och, z jakim trudem!

Nie tylko altruizm stwarza cuda.

W Beskidach przed paroma laty
stanęła od ośi Krakowskiego Obser-
watorium Astronomicznego — stacja
na szczycie Łysiny, gdzie odkryto
niedawno kometę Orkisz, o któ-
rej tak szeroko rozpisywała się
prasa świata całego.

Trzeba przeczytać małą książecz-
kę „Wyprawa astronomiczna w Bes-
kidy“, o której pisała p. Andrea
w Nr. 20 „Bluszczu“ r. b., — żeby
dowiedzieć się, ile trudu ponieśli
uczeni polscy dla stworzenia stacji.
Jak sami — nie mając pieniędzy
na opłacenie robotników, zwozili
deski, z siekierą w rękę pracowali
po 12 godzin na dobę, a gdy prz-
szła noc gwiaździsta, odczytywali
depesze świetlne, nadsluchiwali sy-
gnałów i nie posiadali się z rado-
ści, gdy radiotelegraf zaczął dzia-
łać.

O takich wysiłkach zapomina się
szybko. Przytoczyłam te, które
pierwsze nasunęły się pod pióro.
A ile ich było i jest jeszcze! W chwi-

lach zmory sceptycyzmu należy
uprzytamniać je sobie, żeby zrozu-
mieć: „Nie runie Polska, gdy taki
duch tęgi jest w niej“.

* * *

Wolno, ale jednak budzi się
w urzędniku polskim świadomość,
że nie powinien być tylko płatnym
„numerem“, odwalającym cierpliwie
wyznaczone „kawałki“. Ze praca
jego musi być twórcza i oparta na
wnikaniu w potrzeby państwa. na
gorącym pragnieniu jego dobra
i służeniu mu wszystkimi siłami,
aby zaważyła na szali dobra naro-
dowego i z bezimienności swojej
przeszła w akt czynu widomego.

Ostatnie czasy przyniosły nam
dowody takiej samorządnej twór-
czej pracy polaków na zagranicz-
nych placówkach państwowych.

Polski konsul generalny w Sztok-
holmie, p. Alfred Pomian, znany
działacz na polu propagandy pol-
skiej zagranicą, pomieścił w ency-
klopedji szwedzkiej „Nordisk Fa-
miliebock“ rozprawę na 23 stroni-
cach o Polsce, objawszycy nią cało-
kształt zasadniczych wiadomości
o naszym kraju z dołączeniem je-
go mapy.

Poselstwo polskie w Helsingfor-
sie wydaje w języku fińskim
dekady, zawierające krótkie arty-
kuły dziennikarskie o Polsce, jej
sprawach politycznych, społecznych,
gospodarczych, wojskowych i t. p.
Wiadomości te znajdują silny od-
dźwięk w prasie fińskiej, która je
powtarza skrupulatnie, zamieszcza-
jąc 30—50 artykułów co miesiąc
w różnych organach o Polsce.

Konsul polski w Rotterdamie p.
J. P. Kaczkowski obudził silne za-
interesowanie dla literatury polskiej
w Holandji. Sam tłómaczy prace
Reymonta, Małaczewskiego i innych,
zabiegając usilnie o rozpowszechnie-
nie ich.

Gdyby inne placówki zagraniczne
szły w tym samym kierunku, czy
nie przestalibyśmy wreszcie być
tym Kopciuszkiem Europy?

Niestety o większości przedsta-
wicieli państwa naszego zagranicą
wiemy to tylko, że od czasu do
czasu wydają obiady galowe, lub
biorą w nich udział, że uczestniczą
w różnego rodzaju obchodach, skła-
dają wieńce, wygłaszają mowy. To
i wszystko. Urzędowa propaganda
nasza milczy. I gdyby nie udział
sił polskich w różnych kongresach,
zjazdach, wycieczkach, najczęściej
samorządny, niekiedy skromnymi za-
ledwie środkami przez rząd popie-
rany, — gdyby nie odczyty, wygła-
sane przez historyków, naszych
literatów, ekonomistów — wiedzia-
noby o Polsce to tylko, co piszą
o niej Niemcy w prasie świata ca-

łego i co głoszą z mównic publicznych, gdzie tylko uda im się stanąć.

Na jednym z posiedzeń niedawnej międzynarodowej konferencji parlamentarnej w Waszyngtonie nie było kłamstw i fałszów, któremi nas nie obrzucił poseł z s-jmowego klubu niemieckiego Graebe, wykazując rzekomoprześladowaniemniejszości narodowych w Polsce. Nieustanne naganki wschodnich sąsiadów zrobiły to, że nawet w prasie francuskiej coraz częściej ukazują się artykuły wybitnych publicystów, jak ip. alzaticzka Sauerweina, przenwko nam. Nawet bardzo dla nas do

niedawna przychylna „Gazette de Lausanne” już opowiedziała się za zniesieniem korytarza pomorskiego.

Nasz wydział prasowy M. S. Z. czyta te rzeczy, robi wycinki i chowa je skrzętnie do archiwum.

Gdyby nie inicjatywa prywatna, bylibyśmy zawsze dla zachodu krajem zulusów.

Wyteżona praca naszych artystów na wystawie sztuki dekoracyjnej w Paryżu, gdzie przyznano nam 169 nagród — w tem 36 Grand Prix, — wielki pochód triumfalny pieśni polskiej — wycieczka kra-

kowskiego chóru akademickiego do państw bałkańskich, — wycieczki harcerzy i studentów (ostatnia do Madrytu w październiku r. b.) — czyż to nie ważne czynniki naszej propagandy zagranicą?

Dopóki mamy jednostki pełne pomysłowości twórczej i dobrej woli, dopóki mamy wielkich oliarników społecznych i obywateli, gotowych zawsze kosztem własnych wygod i własnego mienia działać na rzecz dobra kraju, dopóty nawet w tak bezprzykładnie ciężkiej chwili, jak obecna, nie wolno nam wątpić o sobie.

C. Walewska.

R. M. B L Ů T H

KARTKA Z DZIEJÓW KATOLICYZMU W ROSJI W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX W.

11

(KSIĘŻNA ZINAIDA WOŁKOŃSKA)

ZAKOŃCZENIE.

W rodzie książąt Wołkońskich, od czasu ks. Zinaidy i tamtej bohaterskiej Sybiraczki, zaczęły się datować sympatje dla katolicyzmu.

Przeszło jedno pokolenie. A już w następnej, znowu jedna z księżniczek, księżna Elżbieta za cel życia swego uznała sprawę kościoła.

I ona, jak tamta, organizować poczęła salon artystyczny. W salonie tym zbierali się uczeni, artyści. Rolę filozofa Iwana Kirejewskiego (twórcy filozofii narodowej rosyjskiej) odegrywał teraz wielki filozof — Włodzimierz Solowiej.

Księżna Elżbieta wychowała syna, słynnego teatrologa, ks. Sergjusza, dzisiejszego emigranta.

Zaszczepiła w nim silne poczucie Piękna i Prawdy.

Książę Sergjusz Wołkoński przez życie całe bronił tolerancji religijnej w Rosji, a w dobie dzisiejszej po czteroletnim pobycie w Bol-szewji wydał śliczne swe „Wspomnienia”, jeden z nielicznych dokumentów historycznych, pozbawionych nienawiści nawet w stosunku do bolszewików.

Ks. Wołkoński matce swojej poświęca rozdział książki.

„Matka moja — pisze tam — napisała dwie rozprawy, dotyczące się spraw kościelnych. Jedna nazywa się „O kościele”, była wydana mniej więcej w 1887; druga „O tradycji kościelnej i rosyjskiej literaturze teologicznej”, wydana we Fryburgu w rok po jej śmierci, t. j. w 1898... „Imię mej matki, jej

książki, to wszystko, co o tych książkach napisano, a także i to co się rozegrało w dzień jej śmierci — wszystko to zasługuje na specjalne zainteresowanie ze strony badaczy rosyjskiej myśli społecznej”. Z pod pióra utalentowanego syna wyjątkowo wyraziście wyszła sylwetka tej rosyjskiej, bohaterskiej niewiasty.

Sylwetka bardzo podobna do tamtych — już nam znanych, ks. Zinaidy i babki ks. Sergjusza Marii Sybiraczki (księżna Wołkońska była tego samego rodu — wyszła za krewnego).

Po wydaniu pierwszej rozprawy, pisanej ogólnie, broniącej samej zasady tolerancji, burza się zerwała nad jej głową.

Były to czasy Pobiedonoscewa.

Ten wódz reakcji o księżnie Elżbiecie się wyraził, iż jest ona najbardziej niebezpieczną kobietą w Rosji.

Nakazano teologom wystąpić z „obroną”. Księżna postanowiła teraz napisać apologetyczne już dzieło w obronie katolicyzmu.

Kryć się musiała z pracą. Chciano tę krypto-katoliczkę skompromitować (konwersje były karane).

Wytworna dama, a zarazem teolog uczony, pracować musiała w dziwnych warunkach. Pisała w nocy, po powrocie z balu, w wagonach, na ustroniu, w słynnej „Pawłowce”, (w której już po rewolucji ks. Sergjusz urządził zamierzał muzeum dekabrystów).

Pokój jej w tym ustroniu nosił piętno jej wiary. Na ścianach — franciszkańskie obrazy, w szafach, na stole obfity księgozbiór apologetyczny.

Pisała lat dziesięć. Przed śmiercią zobowiązała syna i córkę, że wydadzą zagranicą to jej dzieło życia.

Wspomnił ks. Sergjusz o pogrzebie... Faktycznie był on mimowolną demonstracją zwycięstwa Prawdy nad faryzeuszostwem.

Umarła jako wierna katoliczka. Miano ją jednak pochować na cmentarzu prawosławnym. Mąż dworak, nie chciał się narażać, ale nie chciał też uchybić pamięci zmarłej. Ogłosił w nekrologach, że za duszę zmarłej odbędzie się dwie msze żałobne: katolicka i prawosławna. Gdy się o tem dowiedział Pobiedonoscew nakazał w ostatniej chwili niedopuszczyć do złożenia ciała na prawosławnym cmentarzu.

Kondukt zatrzymał się w połowie drogi. A potem... w wielki tłum ludzi, z dygnitarzami, a nawet carową — matką, zaczął zbaczać na cmentarz katolicki.

Wywołało to głośnie echo w świecie rosyjskiej arystokracji.

Syn podejmuje znamienny dla tych czasów obrazek rodzajowy.

Jeden pocziwy staruszek, generał Dawydow powiedział, że ma się rozumieć księżna Wołkońska wielki grzech uczyniła przez swoje odstępstwo ale... na nabożeństwie żałobnym była cesarzowa, która

całowała zmarłą, a przecież carowa jest Bożym pomazańcem — czyli przez ten religijny pocałunek na pewno otrzymała zmarła rozgrzeszenie z góry“.

Ks. Sergiusz spełnił wolę zmarłej. Opisuje swoje tarapaty, związane z wyszukiwaniem cenzora, któryby znał język rosyjski. Cenzorem tym był ks. Skirmunt (brat naszego posła w Londynie).

Sprawa wydawnicza zetknęła syna z papieżem Leonem XIII.

Zacytujemy ten ustęp, ze względu na piękno w nim zawarte, a także na pewien moment tyczący się bezpośrednio naszej bohaterki, ks. Zinaidy.

„W niewielkim pokoju, obitym czerwonym adamaszkiem, w głębi, na czerwonym fotelu siedział cały w bieli, drobniutki grzybiały staruszek.

„Zbliżyłem się... ukląknę, by pocałować błogosławiącą mnie rękę.

„— Czy pan jest synem Zinaidy, czy Elżbiety?

„Wyjaśniłem... Bardzo mi się podobało to pomieszczenie pokoleń, ów brak wyczuwania różnic czasowych.

„Ten drobny szczegół nagle dał mi możliwość odczucia wieczności, w przeciwieństwie do zmienności pokoleń ludzkich“...

A gdzieindziej tak pisze:

„Zadziwiające oczy miał Leon XIII. Ile w nich było subtelności humoru, oraz, już z oddali widocznej, przenikającej światłości? Był on cały światłem samem, duchem wyłącznie — ciało prawie nie istniało. I jaka zadziwiająca łaskawość. Była to, łaskawość tego rodzaju, żem dzięki niej cał-

kowiecie zatracił świadomość swego wieku.

Nie potrafię wyrazić wrażenia, jakie na mnie zrobiły jego wszystkie gesty — ale pamiętam dobrze, że jego łaskawość wróciła mi dzieciństwo.

Wyszedłem od niego przemieniony. Byłem dzieckiem naprawdę.

Schodziłem powoli po watykańskich schodach. Myślałem? Jakto się stać mogło? Wychodzę przecież z tej „budowli — mocy“ (twierdźni), schodzę po marmurowych schodach, pośród marmurowych ścian; przechodzę przez spiżowe ciężkie wrota, wracam od najwyższego kapłana kościoła Chrystusowego, istniejącego już blisko dwa tysiące lat, — a tak mi lekko na duszy, jakbym miał trzy lata“.

(Koniec).

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZĘŚĆ II.

NOTATKI PSYCHOLOGICZNE

29

Nie trzeba być jakimś nadzwyczajnym obserwatorem, żeby zauważyć, że w naszych czasach Don Juan wcielił się w kobietę.

— Dziś atakuje... kobieta. Kobieta uwodzi. I dopiero dziś donżuanizm stał się naprawdę demonicznym.

Kobieta jest wyższym od mężczyzny typem człowieka — potencje serafizmu i demonizmu są w niej częstsze — są prawie w każdej kobiecie. Ojców Kościoła, — a byli to świetni psychologowie, — przerażała ta jej dwoista natura, — której nigdy nie można zaufać... W sposób nieobliczalny w jeden moment przekręci się raptem na drugą stronę... I ona sama pojąć nie może, jak się to stało i dlaczego? Najlepsze pióra modernistów poświęciły się kobiecie demonicznej, która bynajmniej fikcją nie jest!

Musimy wydać walkę naszemu demonizmowi, bo Kobieta demoniczna pożera kobietę anielską.

Kobieta, która krzywdzi drugą kobietę i dziecko — powinna być ścigana surowym bojkotem. Oto jest zadanie Opinji.

Przyjechali świeżo z zagranicy — od dwóch, czy trzech lat zaledwie poślubieni — oboje niepospolici — a kochali się!... aż oczy bolały patrzeć... Szerokie koło znajomych mogło obserwować, jak z punktu rzuciło się na niego „odbijać“ — ile? — nie umiem określić? — chyba z dziesięć specjalistek. Istny Orfeusz napadnięty przez Bachantki! — Żona uśmiechała się tak jakos krzywo... jakby ją zęby bolały... On obojętny, znudzony, pogardliwy, z nietajonym niesmakiem bronił się tym awansom i ofertom, odkąd zrozumiał ich znaczenie. Bo z początku brał to za żart salonowy i odpowiadał z dwornością wersalską... potem już wyprowadzony z cierpliwości odmachiwać się zaczął szorstko, bez ceremonji, czasem aż grubiańsko. — O! lecz od tego frenezja dekadentek mogła tylko wzrastać!... Kochał żonę, miał szczerą chęć pozostać jej wiernym — sprawiało mu przykrość jej dobrze rozumiałe zdenerwowanie... Byli tak duchowo jedni, tak żył z sobą, tak związani wszystkimi władzami cielesnymi i moralnymi. Nareszcie jedna zaczęła brać górę nad inną — powoli, powoli, zdystansowała i odsadziła wszystkie. — Zaczęła nawet nieznacznie wchodzić w pewną rolę...

Panna Eugenia była brzydka i mała, i chuda, o rysach nieregularnych, cerze ziemistej i rudawych włosach. Ale jej usta, wąskie, jak sznureczek, rzekłbyś, zamykały jakąś taką tajemnicę... że runęłoby niebo i zawałiła się ziemia, gdyby się te usta chciały rozewrzeć ją i wydać... Zielone oczy szeroko otwarte zdawały się widzieć coś, czego nie widzą zwykli ludzie.

Była drażniąca i niepokojąca. Była bardzo inteligentna! Inteligencja jej wnikliwa, jak gaz, jak światło, wiedziała zawsze kim kto jest i co trzeba zrobić, aby go zdobyć. Pan Aleksander przy swojej wielkiej nauce był człowiekiem o wysokiej skali duchowej i jej kokieteryja stała się uduchowioną. Miała ku temu środki bogate i różnorodne. Dużo podróżowała, w całej Europie była jak w domu, a w Azji i Ameryce, jak w Europie, podczas długiego pobytu w Londynie studiowała buddyzm u autentycznego iakira.

— Czy wiesz do czego posunęła się ta Eugenia ze swoim Aleksandrem?

— ??

— W jej pokoju, zamkniętym zawsze na klucz i niedostępnym,

jak forteca (i dlatego właśnie zwiędzanym przez wszystkich) nad jej łóżkiem, w miejscu, gdzie się zawsze umieszcza wizerunki boskie, wisi portret pana Aleksandra, przez nią samą malowany, w szatach kapłańskich z mitrą na głowie.. wprawiony w ołtarzyk renesansowy. Na maleńkiej mense, nakrytej obruskiem, leżą jakieś przedmioty święte i cudowne świeże kwiaty.

Na srebrnych łańcuszkach zwisa się lampka, płonąca dniem i nocą. Eugenia modli się tutaj rano i w wieczór, stojąc... oddaje wizerunkowi cześć, coś w rodzaju ziemnych pokłonów cerkwi prawosławnej. Potem wstaje i, kołysząc się rytmicznie na nogach, śpiewa... śpiewa w języku sanskryckim jakiś hymn święty.

Ale... ale... najważniejsza rzecz— nad ołtarzykiem złożonemi literami napis:

Oto jest drugi Chrystus. Oto powtórne wcielenie Chrystusa.

— O, na mnie to już nie robi żadnego wrażenia:

Widziałem już to samo w pokoju tej samej panny Eugenji w Londynie przed pięciu laty... Tylko tam na drugiego Chrystusa pasowany był francuz, niejaki Armand Lefebre, do którego wówczas miała tę samą dewocję jaką ma dziś do naszego pocziwego Olesia...

— Ciekawa rzecz, czy on też wie o tem...

— O!.. to jest mistrzowsko zrobione: na tyle niedyskretnie, aby się o tem do wiedzieli wszyscy.. i on... żeby mógł się tem napawać... I na tyle dyskretnie, aby mógł udawać, że nie wie... co go uwalnia od śmieszności i wogóle z bardzo drażliwej sytuacji ratuje.

A Pana Aleksandra to wzięło!...

Zaczął coraz częściej i coraz z głębszym przekonaniem powtarzać: „nie odtrąca się takiego uczucia“.

Zrobił ją swoją sekretarką.

No i nie było tajem już nikomu, że wyjściem z tego dramatu będzie trójkąt...

Pani Aleksandrowa coraz bledsza i coraz chudsza — ona, która nigdy pierwszej nie rozłączała się z mężem, snuła się teraz, jak cień i zawsze sama, po domu i po mieście. Zim-

nemi ustami Mąż składał na jej ręce trzy oficjalne pocałunki dziennie: rano, wieczór, i po obiedzie.. Oczy jego patrzyły na nią tak, jakby była z gazy i widać było poprzez nią powietrze.... Nie miał jej teraz nic do powiedzenia... on który zawsze czegoś śpieszył się tak do domu, „bo musi żonie coś natychmiast zakomunikować — albo się poradzić“.

Teraz całemi dniami gdzieś przepadał!

Pewnego dnia, powróciwszy do domu późno, jak zwykle, zdziwił się, nie zastawszy żony w mieszkaniu.. Ale znać inne myśli absorbowwały go tak bardzo, że niedość zwrócił na to uwagi... Runął na łóżko i spał kamiennym snem do rana. O ósmej zbudziła go cisza... O tej porze budziło go zawsze krzątanie się żony — otwierał oczy i czempredzej zamykał z lubością rannych dosypiań.

Ale teraz skoczył z łóżka, jak oparzony... „Jakto, nie wróciła?!“ „Nie nocowała w domu?“ Straszna myśl, myśl o samobójstwie ugryzła go w serce, jak żmija jadowita... Zimny pot go oblewał, trzęsącemi się rękami odziewszy się jako tako, poleciał do komisarjatu. Zadzwoniły telefony i odzwończyły... Był jeden wypadek: młoda brunetka.. Rysopis i ubranie zgadzały się, popędził na ulicę Teodora... Nim odślonięto całun ze zwłok nieszczęsnych — o mało nie zwarjował — nie! — nie ona!

I tak przez cały dzień trwała okropna tortura poszukiwań. Obiegł wszystkie miejsca, na które tylko padał najlżejszy cień podobieństwa, że tam się mogła znajdować?!

Noc przyszła na tyle od dnia straszniejsza, na ile cień straszniejszy jest od światła.

Boleść jestto mocny środek trzeźwiący z wszelkiego pijaństwa, z czadzenia, znarkotyzowania... Spadło mu z oczów bielmo. O, rozpacz! rozpacz! on nigdy na jedno oka mgnienie nie kochał tej Rudej, — jej typ fizyczny był mu wstrętny — moralnie, nie lubił jej od pierwszej go wejrzenia — nie miał do niej nawet tego najpospolitszego, najniższego pociągu, jaki mężczyzna ma prawie do każdej młodej kobiety, trochę sympatycznej. Uczepiła go się, jak ośmiornica, jak nieszczęście! Och!

rozpacz.. rozpacz. Wszystkiemu winna ta występna, sromotna nie do darowania słabość męskiego charakteru wobec pierwszej lepszej rozrywki erotycznej.

I może ona ta, którą kochał, jedną, jedyną, ciałem i duszą, której nie przestał kochać na minutę.... przez tę przekłętą... Nie domówił strasznego słowa, łzami się zalał.

W tem o dwunastej dzwonek!.. przebiegł mieszkanie, jak dreszcz nadziei? Zawodnej.. niestety! na progu stała przed nim Eugenia... Och, z jakąż wściekłością zatrzaskał jej drzwi przed samym nosem, odepchnawszy, opierającą się, w głąb czarnej sieni — i zaklął przez zęby...

Ranek zastał go w stanie okropnym — czekała go napewno ciężka choroba, obłęd może?... Gdy niespodziewanie w osobie stróżki, która mleko przyniosła, przyszło uspokojenie i pociecha...

„Adyć pani — mówiła z właściwą ludowi flegmą w najgwałtowniejszych wypadkach — pojechała do swoich rodziców! Kazała se deróżkę sprowadzić i pojechała na kolej z walizką.“

O zachodzie słońca dojeżdżał furmanką do domu teścia. — Na ganku w bolesnej zadumie siedziała pani Aleksandrowa... nie słyszała nawet turkotu...

Runął jej do nóg, jak długi, i zemdlał.

— Ja rozumiem, że można wyrzec się męża, jeżeli chodzi o jego szczęście — jeśliby to on tak się szalenie zakochał. Rozumiem jakiś taki coup de foudre, przeciw któremu wola jest bezsilna. — Nikt tu nic nie jest winien.. Nikt tego nie chciał, nikt tego nie wołał, samo przyszło, samo się zrobiło, jak nieszczęście. Spojrzeli na siebie i już żyć bez siebie nie mogą!

Ale, żeby mi ktoś urządził na męża polowanie — żeby go brał par force, podstępem, sztuką, kuglarstwem... Niel to jabym broniła swego szczęścia, jabym na to nie pozwoliła!

— Tak, jeśli kobieta ma o kogo się oprzeć — jeżeli ma kochającą rodzinę — sama, nie wytrzyma walki. Ulgnie naporowi brutalstwa. Otóż trzeba, żeby ta, co nie ma nikogo, czuła za sobą całą rzeszę kobiet, któreby były siostrami każdej skrzywdzonej!



KAROLINA BIELAŃSKA

JASEŁKA ŚW. FRANCISZKA

W przededniu uroczystości, które-
mi Assyż święcić będzie 700-ną rocz-
nicę śmierci św. Franciszka, myśli
nasze coraz częściej biegną do tej
przedziwnej postaci, drogiej całej
ludzkości i tak nam bliskiej i ży-
wej, mimo dzielących nas 7 miu
wieków.

...I stało się, że trzy lata przed
swoją śmiercią, a więc w r. 1223
św. Franciszek, by rozbudzić poboż-
ność w narodzie, zapragnął obcho-
dzić z wielką uroczystością święto
Bożego Narodzenia w mieście Ge-
ccio. Otrzymawszy na to zezwolenie
Najwyższego Pasterza, kazał
sprzągnąć żłobek, przynieść słomy,
przyprowadzić woły i osła.

„Zbierają się braciszkuwie, nad-
biega lud, las rozbrzmiewa pieśnia-
mi. I oto noc czcigodna, cała roz-
śpiewana, cała gorejąca od światła.

„Stał Człowiek Boży przed żłob-
kiem rozplwając się w łzach i ra-
dości.

„Msza się odprawia. Św. Franci-
szek, jako Djakon śpiewa Ewangelię
Świętą.

„Potem przemawia do zgroma-
dzonego ludu, oznajmiając mu Na-
rodziny Króla Ubogich, którego
w czułości swej mile nazywa Dzie-
ciątciem Betlejemskim.

„Pewien cnotliwy rycerz, pan
Jan z Greccio, który niebawem dla
miłości Pana Chrystusowej świeckie
porzucił zbroje, zaświadczył potem,
jako widział Dziecię bardzo piękne,
leżące w żłobku, i widział, jako św.
Franciszek tulił je w objęciach...”

Tak opowiada w „Życiu św.
Franciszka” w rozdziale VIII-ym,
św. Bonaventura genezę pierwszych
„Jasełek”.

Spójrzcie na obrazy Primitiwów,
przedstawiające „Natalizio”, uj-
rzycie to samo: Madonnę, już nie bi-
za tyńską, sztywną Królową, ale Mat-
kę miłosną, tklwym ruchem chy-
lącą się nad ubogim żłobkiem, po-
kornych przyjaciół, ogrzewających
tchem swym Dziecinę: woły i osła,
wokoło cienisty las w Greccio
i zbudzone światłem ptaszyny, trze-
pocące się w gałęziach. Święty na-
uczył je, jak mają „Jezusowi wyś-
piewywać”. I nadbiegający z gór
tłum pasterzy, ludzi ubogich, śpie-
szących „powitać Pana”: Króla
Ubogich.

Przez długie wieki powtarzać się
będzie ta scena w kościele Aracoeli,
gdzie przy żłobku Santissimo Bam-
bino, sam Papież mszę odprawiać
będzie.

Przyśpiewywać tam będą ptaszki,
sztucznie w klatkach hodowane, ale
z gór sabsińskich przyjdą prawdziwi
pastuszkowie, w kozuchy owcze
odziani pifferari z kobzami, du-
dami i fujarkami, jak w kantyczce
naszej...

Kantyczka! niegdyś, w ubogiej
piekarni słuchał Słowacki wyjętej
z niej kolędy, która „plakała w ryt-
my ubrana najłohs e”.

„Żaden naród—mówił cudzoziem-
com Mickiewicz—nie może po-
chlubić się takim zbiorem.” „Uczucia
w nich wdane, mianowicie: uczu-
cia miłości i czci Matki Dziewicy
ku swemu Synu, Bogu tak są de-
likatne, tak czyste, tak niebieskie,
że tłumacząc je prozą byłoby znie-
ważać świętość”.

Wielki znawca Włoch i miłośnik
sztuki włoskiej, Władysław Kulczycki
(pseud. Cezar Polewka), ćwierć
wieku temu pisał: „Cimabue, Giotto,
Aniół z Fiesole, Piotr Perugino, cała
słowem pierwotna szkoła florencka
i umbryska w naszych Kantyczkach
się znajduje. Nie jest to przesadna
przenośnia, lecz zdumiewająca rze-
czywistość. Objedźcie z kantyczką
w ręku kościoły Umbrji, obejrzyjcie
zwłaszcza freski w Assyżu, a osłu-
piejcie, tak, jak ja osłupiałem.

„Włoscy mistrze i nieznani ludowi
pieśniarze polscy miewali rajske
widzenia zupełnej tożsamości nawet
co do najdrobniejszych szczegółów,
tak że ich malowidła mogą się na-
zywać „malowanemi Kan-
tyczkami”.

W dalszym ciągu radzi autor, aby
„jaki zdolny i cierpliwy rysownik
wykonał zbiór fresków umbryskich,
a następnie porównał kantyczki
i malowidła, będące ich gotową,
tracącą cudem ilustracją”.

„Ta niesłychana tożsamość po-
winnaby przekonać niedowiarków
o boskim pochodzeniu prawdziwe-
go natchnienia, które z nieba pły-
nie”.

Ów „cud”, sprawił ponoś nikt in-
ny jeno święty Franciszek.

Ozanam w pięknym porównaniu
mówi, że dusze świata średnio-
wiecznego były jak ciernie zeszcł-
e i kolace w zimowym ogródku Assy-
żu. Wystarczyło wedle legendy, kil-
ku kropel krwi Świętego by na su-
chych gałęziach rozkwitły róże, pur-
purowe i wonne¹⁾.

Tak rozkwitły z suchej scholastyki
wyzwolone sztuka i poezja, pod

¹⁾ F. Ozanam: „Les poètes franciscains
au XIII siècle, Paris 1862.

tchnieniem franciszkowego miłości-
wego ducha, dobywając z głębi lu-
dowej wiary najczystsze natchnie-
nia.

Śpiewał Bogu sam Franciszek,
trubadur anielski, śpiewał w języku
ubogich pasterzy „frate foco e sora
aequa”. Cała plejada poetów fran-
ciszkańskich dobyła z „lingua vol-
gare” klejnoty i stworzyła, przed
Dantem, język włoski.

A nawet gdy w łacinie tworzyli
ci poeci, trafiali do duszy ludu. Naj-
większy z tych śpiewaków Bożych:
błog. sł. Jacopone da Todi, „sza-
lenieć miłością obłąkany”, napisał
przedziwny hymn boleści: Stabat
Mater, który „zrozumiały wszyst-
kie kobiety na świecie wpół przez
słowa, wpół przez melodię i—serce”.

Świat cały zna tę pieśń, ale mało
kto wie, że Jacopone napisał jej
odpowiednik, przeniknięty tak słod-
kiem uczuciem radosnej tklivosti,
jakby patrzył na ów żłobek fran-
ciszkański:

Stabat mater speciosa
luxta fienum gaudiosa
Dum jacebat parvulus...

O quam leta e beata
Fuit ille immaculata
Mater unigeniti...

Nati Christo in praesepe...

Stała matka najwdzięczniejsza, radując
się podle siana, na którym synaczek spał..
O jak wesola i błoga była ta niepokalana.
Matka jednorodzonego...

Narodził się Chrystus w żłobie...

„W żłobie leży, któż pobieży...”

odpowiada pieśń gdzieś z dalekiej
Polski.

Mater gaudiosa pozdrawia
Dzieciątko:

„Witaj synu najśliczniejszy, witaj Jezu
[najwdzięczniejszy.]”

patrzcie, oto ta sama szopka, żłób,
wół i osioł i pasterze, co

„Paśli woły u zielonej dąbrowy, Aniół
im się pokazał, do Betlejem iść kazał.”

Cóż tam ujrzeli?

Oto śpiewa już tym razem „w je-
zyku chłopskim, błogosławiony”
Jacopone:

Ne la degna stalle del dolce bambino
Gli angli cantano interno al piccolino

W stajni nie dość godnej! Słodkiego Dzie-
ciątka

Anieli śpiewają koło pacholątka.

Na tę samą nutę śpiewa Kantyczka:

Porodziła Panna Niebieskie Paniątko
W żłobie położyła małe pacholątko...

Nietylko freski i kantyczki, ale
Laudy franciszkańskie i kolendy
bratnim dzwonią tonem. I niema
w tem nic dziwnego!

Pierwszy „żłobek“ w Krakowie
niechybnie urządzili Franciszkanie.

„Bracia mniejsi“ roznieśli po całym świecie, jakby iskierek duszy
płomiennej swego fundatora: pobożność tkliwą i pogodną miłość
dla stworzenia wszelkiego, wniknięcie w duszę ludową.

Dusza ta, której struny najser-
neczniejsze trącono, rozśpiewała się
najszczerzej i najgłębszym to-
nem, i w Umbrji, i w sabinjskich
górach, i na mazowieckiej równinie.

Cóż dziwnego, że polska kantyczka
wtóruje nieraz śpiewom Jacopone

i że podobne są do siebie jak siostry.

Siostry — przyrodnie! Św. Franciszek był im ojcem, dusza ludowa — matką.



Tonem dominującym: Współ-
czucie.

Miłosne współczucie Biedaczyny z Assyżu dla Boga Dzieciątka
na Wielką przeznaczoną Ofiarę,
dla biednych ludzi, dla wszechstworzenia.

Z róż wykwitłych z krwi Świętego,
najżywszą i dziś jeszcze wonie-
jącą, pozostała ta polna róża za-
szczepiona na głogu nadwiślańskim:
Kolęda.

Do dziś dnia śpiewa ona „w rym
my ubrana najlichsze“ słowami
zgoła Franciszkowemi jak to:

Jezus malusieńki
Płacz z zimna, nie dała mu matusia
Bo uboga była... [sukienki]

I jakto, od ludzi litościwsze:

Jagnięta beczaly —
Gdy płacz usłyszały
Jezusa.

ZOFJA ROŚCISZEWSKA

KOLEDA

Za kolędą rozbrzmiewa kolęda
I płynie nocą z płatkami śniegu,
Pachną słowa, jak kwiatowa grzęda,
Mówią o Dziecku z Niebieskiego Brzegu.

Szeleści stano pod obrusem —
Opłatkiem bielszym niż łabędzie
Podzielmy się z małym Jezusem,
Co zaraz tu z nami będzie.

Śliczny, jak z obrazu Rafaela,
W złotych włoskach u Matki na rękę,
Gra Aniołów cała kopela
I my Go witajmy piosenką.

Czy weźmiesz sobie złotą grzechotkę
Dzieciąteczko — różany listku?
Z choinki naszej, Dziecko słodkie
Sercem szczerem oddamy Ci wszystko.

Może baranki skubiące trawkę,
Borwne łowickie lalki może
Wybierzesz sobie na zabawkę
Ptaszyno mała, Dziecię Boże?

O nie! w malutkie twe rączyny
Składamy dzisiaj Polskę całą —
To dar na Twoje urodziny,
Słowo, które się Ciałem stało!

N. S A M O T Y H O W A

„BOŻE NARODZENIE” W MALARSTWIE

„Pokłon pasterzy” Hugo van der Goea i Piotra Pawła Rubensa.

Ze współczesnych malarzy chyba jedyn tylko Rivièrę umiał legendarne Bożego Narodzenia wyrazić plastycznie w sposób przemawiający do wyobraźni i uczuciowości dzisiejszych ludzi. Prostota jego cyklu „Pochód ku gwiazdzie” i zjawiskowość, melancholia, tęsknota, oczekiwanie i nadzieja, sugestionujące te gromady pielgrzymie, rozsiadane po szlaku pustyni, czy śniegu i pędzące ku jakiemuś celowi: ku objawieniu dobra, ku zrodzeniu na ziemi Idealowi, ku pocieszeniu wszelkiego Cierpienia—wszystko to ma swoją malarską poezję, muzyczność i emocjonalność, udziałającą się ludziom po zaskutku XX wieku. Naogół jednak nasze czasy może jeszcze nie są dla sztuki religijnej jej miejsce właściwe i panowanie — to dalekie wieki wstecz, gdy duchowość ludzka w niej i przez nią mogła się najlepiej wyrazić, mogła i musiała.

Mysle o średniowieczu, w którym wiara była jedną ze społecznie najmocniejszych pobudek twórczych, obok rozkazodawczej woli i upodobań książąt świeckich i duchownych.

Potrzeba korzenia się, błagania o interwencję, zapewnienia sobie drogi do nieba w niespokojnych, ciągłą grozą końca zaćmionych wiekach walk, wojen i lęku przed rozpadnięciem się świata — urobiły psychikę ludzką w ten sposób, że oscylowała łatwo pomiędzy ekstazą, a rozpaczą, radością, a najwyższą trwogą, użyciem, a ascezą, szatanem, a aniołem, niebem, a piekłem. Modlitwa, zakony, pokuta, biczowanie, obok zawiłych spekulacji filozoficzno-naukowych, astrologii i alchemii — to drogi wyjścia z pod jarzma niepewności i zła.

Mostem błagalnym i ofiarnym miała się stać również sztuka. Przesądziło to o jej temacie, a poniekąd i formie.

Architektura stała się najważniejszą: najbardziej bowiem była użytkowa i potrzebną, jako wznosząca Domy Boże — rozkwitła też w arcydzieła natchnionych kon-

strukcyj gotyku. Do niej doczepione we wnękach, wspornikach, odrzwiach, kaplicach i ołtarzach

łeczeństwa występuje bogaty, trzeźwy, rozmówany w życiu i dobrobycie stan mieszczański i wsparta o niego wyrasta ponad feudałów władza absolutnej jednostki.

Równocześnie kościół i religja ze stanowiska nadzrędnego schodzi do roli współdziałacza

Zanim się to jednak ustali, malarstwo potrzebne jest jedynie do użytku wiary i obrzędowości. Artyści są więc wielkimi rzemieślnika-

mi, pracującymi na zamówienia dla klasztorów, kościołów i ich fundatorów. Wobec tego oczywiście tematy obrazów są wyłącznie religijne i gdzieś tam tylko wpleść się daje w obraz, lub przemycić na skrzydłach tryptyków i polptyków postacie świeckie — portrety książąt, czy magnatów, fundujących ołtarz do kaplicy swego imienia.

Prosty, wyraźny kontur obrazu zamyka określoną dziedzinę, z której czerpać wolno temat.

A gdy nieco już odpłynęła groza średniowiecznej mistyki, gdy odeszło ciągle obcowanie ze śmiercią i uchły rozpaczliwe suplikacje, sztuka — a był to wiek XV, wiek pogody (względnej) i dostatku — zwraca się raz po raz do najjaśniejszego, najłagodniejszego i najbardziej może wdzięcznego z tematów nowego testamentu — do legendy Bożego Narodzenia.

Malarze Flandrii i Włoch — dwóch największy ognisk produkcji artystycznej — malują z wyraźną predykcją pokłon pasterzy, trzech Królów, Zwiastowanie, Świętą Rodzinę, Madonnę z dzieckiem, samą, lub w otoczeniu świętych, urozmaicając i bogacąc w miarę indywidualnych, rasowych i „epokowych” upodobań temat stosunkowo prosty i jednolity. Muszą przytem trzymać się przepisów liturgicznych i zachowywać ścisłą zgodność z podaniami biblijnymi. Stąd powtarzanie się pewnych szczegółów w kompozycjach bardzo odmiennych artystów.

Z pośród wielu obrazów XV w. na temat Bożego Narodzenia „Po-



Hugo van der Goe: Pokłon pasterzy.

rosły skromnie, sprowadzone do roli szczegółu drogiego prawnie jubilerskie koronki, lub jakże nieraz wymowne i głębokie figury



P. P. Rubens: Pokłon pasterzy.

rzeźby. Malarstwo chrześcijańskie zaczęło swój żywot na murach kościołów podziemnych, potem przeniosło się do ołtarzy, relikwiarzy, mszałów i modlitewników. Do użytku ściśle świeckiego zaprzęgnięto je dopiero w XVI w., gdy na tło spo-

kłon pasterzy“ Hugo van der Goesa należy do najwybitniejszych.

Tryptyk ten, zwany od fundatorów tryptykiem Portinarich, znajduje się w Uffizzi'ach florenckich. Powstał w drugiej połowie XV w. Jest dziełem flamanda, pochodzącego prawdopodobnie z Gandawy, pracującego tam, w Bruges, Lovanium i wreszcie, po wstąpieniu do zakonu, w Czerwonym Klasztorze (pod Bruksellą), gdzie przedwcześnie umiera († 1482).

Obraz jego jest znamieny dla twórczości flamandzkiej i środków, jakimi się ona posługiwała w sztuce plastycznej.

Pochodzi z epoki kiedy za i bezpośrednio po van Eyckach malarstwo odrodzenia we Flandrii (t. zw. prymitywizm) dochodzi do najwyższej tężyzny wyrazu i formy.

W myśl tendencji epoki kompozycja jego jest rozproszona i rozbita na fragmenty współistniejące. Obok głównej, centralnej akcji mamy drobne obrazki (nowelle) na planach trzecich i czwartych.

Podobnie jak obrazy włoskiego Quattrocenta i flamandzki prymitywizm jest narracyjny i wielomówny.

Pełno tu akcesoriów dla ówczesnego zmysłu kompozycji niezbędnych, a zupełnie niepotrzebnych z punktu widzenia późniejszej epoki.

Środek obrazu jest prawie pusty, dużo tu przestrzeni wolnej. Leżące w promieniach na ziemi małutkie nagie dzieciątko, skupiające na sobie uwagę wszystkich, jest jednak samotne i oddalone od adorujących je: Matki, św. Józefa, aniołów, bydła i pasterzy. Aniołowie, rozproszeni, rozbiti na grupy, unoszący się w górze, nadpływający zewsząd, kłęzący w trzech gromadkach, żyją własnym, zamysłonym życiem; Madonna stroskanie kontemplująca, Św. Józef przy tradycyjnej kolumnie stróżuje. I pasterze!

Ta mała grupa trzech prostaków, bezpośrednio z pola „przybiegających“, prawdziwych, żywych, niezawodnie widzianych przez artystę chłopów flamandzkich, stanowi arcydzieło tak bardzo z naturą związaną sztuki Północy.

Ci trzej ludzie o głowach, oczach i rękach mówiących, pełnych indywidualnego wyrazu, gestykulujący i mający w sobie tyle ruchu, są czymś nowym, dzielnym, pionierskim w okresie malarstwa, uległego kanonom, niedopuszczającym „rodzajowości“.

Van der Goes uczynił wyłom w panującym konwencjonalizmie kompozycji i zadokumentował ostаточно rozumienie i wyczuwanie wielorakości życia, tak charakterystyczne dla artystów Flandrii. Lecz nie na tem kończy się nowatorstwo van der Goesa.

Pomimo całej rysunkowości w kształtowaniu formy, pomimo ostrych kontrastów pomiędzy plamami ciemnymi i jasnymi, pomimo stosowania barw jednolitych — w „pokłonie pasterzy“ widzimy już pierwsze ślady modelowania światłem i cieniem (pasterze, św. Józef) i zapowiadającą się malarzką ujęciem świata.

Przełamując tradycję kulisowego rozkładu planów, van der Goes dąży do scalenia akcji, dając próbę skoncentrowania psychicznego grup rozbitych. Osiąga w ten sposób po renesansowemu zamkniętą formę.

W niespełna dwa wieki później Piotr Paweł Rubens (ur. 1577, zm. 1640), ten najbardziej flamandzki z flamandów, jak mówi Fromentin, wierny syn swej ziemi i siedemnastowieczna po ośmioletnim pobycie we Włoszech wraca w 1608 r. i tworzy pełne impetu, żywotności, siły, impulsywne, oratorskie i reprezentacyjne dzieła flamandzkiego Baroku.

Sztuka namiętności, gestu, patosu i heroizmu, sztuka — bezwiedne narzędzie polityki hiszpańskich wielkorządców we Flandrii i pomagających im w budowaniu absolutyzmu jezuitów — pod względem kompozycji i środków formalnych jest tak odmienna od sztuki van Eycków, van der Goesa i innych, jak odmiennym był ten człowiek nowy od ludzi XV w.

Ten wielki Rubens, opanowany, pełen dystynkcji i wytworności, zrównoważony duchowo, wykształcony humanista i erudyta, czło-

wiek spokojny i dobry, w twórczości swej zdaje się być ponoszony przez wichry i nieokiełznane pegazy. Syci w obrazach swą tęsknotę do wielkości i siły, upaja się po flamandzku konkretnością, ziemskością, ciałem, życiem. A więc i światłem, i barwą, i pędem!

Jego ludzie — olbrzymi i jakże rzeczywisci, jakże realni, nurzają się w powietrzu i świetle. Nie linia i zarys służą rasowej precyzji wykonania, lecz cała gama palety malarskiej, mieniającej się półtonami, lekceważącej ostro, wyraźny kontur; kształt przytem gubi się i rozprasza w świetle.

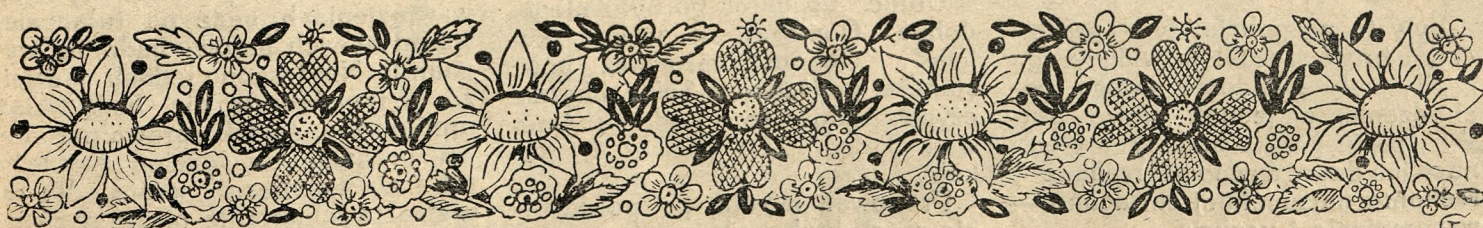
Konkretna i masywna, a równocześnie powiewna, zmienna, odtwarzająca chwilę, mgnienie, zjawisko jest ta sztuka ruchu i dynamizmu.

Więc szczegóły stały się zbędne. Nie znajdujemy na monachijskim „pokłonie pasterzy“ Rubensa orlików i irysów, snopka słomy, ani drewnianego chodaka, tych szczegółów, drogich dla prymitywów.

Tu wszystko jest naprawdę ześrodkowane psychicznie i fizycznie: obrotem ciał, spojrzeń, gestów na spoczywającym w żłobku Chrystusie. Aniołowie i putti, płynący wśród skłębionych obłoków i światła, łączą się niedostrzegalnie z postaciami nadbiegających pastuchów w pół-elipsę, lub w dwie zbieżne przekątne! Ugrupowanie pełnych ruchu figur oszczędza miejsca. Widzimy zaledwie fragmenty zwierząt, lecz to wystarcza. Światło najmocniej skoncentrowano na dziecięciu i madonnie (świeckiej, banalnej figurze). Cały wyraz w pochylonych, witających, zachwyconych pasterzach. Św. Józef w cieniu. Akcesoria kanoniczne znikły. Obraz odtwarza chwilę i wszystko się skupia w około niej: ona żyje w całej potęgę, grożąc zmianą i przelaniem się w inną, nową.

Jest to, jak piękny, głośny, wyrwany z całości utworu muzycznego, pasaż, biegnący w nieskończoność.

Tak, jak płynność życia.



MARJAN DUBIECKI

WIZJE WIGILIJNE



a szarych, często mgłą osłoniętych drogach życia polskiego, doroczne, wielkie święta Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy są niby słupy przydrożne, około których staje znużony życiem wędrowiec, by chwilę wypocząć, by zdobyć nieco sił do dalszej życiowej pielgrzymki... Staje, odpoczywa, lecz ów słup przydrożny niezawsze jest dlań pożądanym wypoczynkiem. Cisną się do jego myśli wrażenia przeszłości mniej mrocznej, radośnej — i ów słup przydrożny dla innych słoneczny, dla znużonego życiem wędrowca staje się smutnem zjawiskiem.

Szczególnie w owe dni Bożego Narodzenia, w ów wieczór Wigilijny, otoczony wielowiekową tradycją, powstają z otchłani pozornego zapomnienia, zmartwychwstają zmarłe postacie, wspomnienia, przeżywa się chwile niezwykle, przełomowe... Staje się to wielokroć udziałem nie tylko człowieka szerszych widnokręgów myśli, lecz i ubogich duchem jednostek: każdy bowiem posiada swą przeszłość, świat swych ukochań...

Podczas doby naszej niewoli, Moskwa kilkakrotnie wyprowadzała w jasyr polskie dzieci. Za dni Katarzyny, za dni Mikołaja I-go, po roku 1831, kilka tysięcy dziatwy porwano z Królestwa Kongresowego pod pozorem, że są sierotami, wydarto je matkom i ziemi ojczystej, popędzono w głąb Rosji... Powrotu dla nich nie było. Ginęli setkami... Co nie zginęło wśród trudów wygnania, to wsiąknęło w społeczeństwo moskiewskie, zachowując niekiedy w głębinach swej istoty przekształconej jakiś słaby promyk przywiązania do swojskości, z której ich okrutnie wydarto. Kto miał możność przebiegania wielkich obszarów Europy wschodniej, lub Azji północnej, tych olbrzymich przestworów niewoli i zatracenia, niejednokrotnie mógł spotkać, jeśli umiał patrzeć, typy tego rodzaju.

Były to pospolicie typy prostacze, istoty o szczupłym widnokręgu myśli, mało świadome swego pochodzenia, a jednak słowo polskie, pieśń polska budziły w głębinach ich duszy dawno pogrzebane — rzekomo najzupełniej zatraczone — wspomnienia i uczucia.

Staje przed nami wspomnienie małego odbłasku, budzącego się świata uczuć, drzemiących przez życie całe u jednej z takich nie-szczęśliwych istot.

„Wizja wieczoru Wigilijnego“ to sprawiła.

Podczas zimy z r. 1863 na 1864, gdy grupa wygnańców, uczestników powstania styczniowego, pędzonych z Wołynia na Sybir, w więzieniu jednego z miast nadwołżańskich obchodziła Wigilię Bożego Narodzenia, przypatrywał się im zdala i przysłuchiwał niepoznaczony człowiek, posługacz więzienny. Na jego twarzy zbiedzonej, życiem zmęczonej, życiem nędzy i poniewierki wieloletniej, trudno było dopatrzeć się wyższej myśli... Patrzył na tłum więźniów z ciekawością. Zdawał się być jedynie mocno zainteresowanym, ale obojętnym widzem, mało rozumiejącym co go otacza.

Tak też było w istocie...

Świat jakiś nieznany, nigdy niewidziany, przesunął się przed jego wzrokiem. Stary, znędzniały człowieczek im dłużej wpatrywał się, tembardziej znikła jego bezmyślna obojętność, a natomiast wypływała jakaś myśl poważna.

Więźniowie nie zwracali uwagi na milczącego świadka ich skromnej uczty wigilijnej, pamiątkowej, przenoszącej ich z tego domu niewoli do odległych zagród ojczystrych...

Gdy po przełamaniu się okruciami opłatka — przez kogoś z kraju w liście otrzymanego — zabrzmiała nasza prastara pieśń „W żłobie leży“... stało się coś nadzwyczajnego. Posłyszano łoskot — niby ktoś runął na ziemię i wielkie łkanie, jakby płacz niemowlęcia...

Zgrzybiały posługacz więzienny padł na ziemię i, omdlały ze wzruszenia, uderzył w płacz wielki...

Przybiegli doń, chcieli go podnieść; on, nawpół leżąc, a nawpół klęcząc, powtarzał tylko dwa wyrazy: „Kolędy, jeszcze kolędy... jeszcze, jeszcze“...

Utulić, uspokoić go było niepodobna. Domagał się wciąż „kolędy“. Ochocza młodzież powstańcza, pędzona na Sybir, chętnie czyniła zadość jego żądaniu: śpiewała kolędy. On słuchał i płakał...

Próbował mówić po polsku — nie mógł; brakowało mu wyrazów.

Twierdził, iż kiedyś umiał, dziś już zapomniał... Chciał się modlić, lecz słów pacierza nie pamiętał... Modlił się jeno łzami...

Był to Polak, ziomek owych więźniów powstańców, pędzonych w jasyr. W dzieciństwie kiedyś z Polski porwany i zapędzony do głębin moskiewskiego państwa i tam życie spędził.

Skąd go i kiedy wzięto, z jakiego otoczenia, dokładnie nie wiedział. Świat dawny, świat lat dziecięcych zagrzebały rumowiska późniejszego, ciężkiego życia... Pieśń kolędy, którą słyszał przed dziesiątkami lat, może jeszcze wówczas kiedy siedział nawpół niemo-włębem na kolanach matki, obudziła świat oddawna pogrzebany. Zmartwychwstała przeszłość powitała łzami... Wstrząśnienie było tak wielkie, iż omdlał na chwilę.

Tchnienie przeszłości nadpływało gwałtownie, niby fala przypływu morza i owładnęło jego całą istotą...

Wizja Wigilijna, odbłask przeszłości, zniknęła w mrocznych izbach więziennych na szlakach syberyjskich, ale te wizje powtarzały się wielokrotnie przy owych agapie — węzłach braterstwa, ucztach miłości bratniej, jak je nazywali pierwsi chrześcijanie. W Polsce te uczty miłości posiadały liczne znamiona narodowe, otoczone były zawsze symbolami swojskich starych tradycji...

Do prastarych tradycji zaliczano, iż u stołu, zastawionego do wieczery wigilijnej, były dla „nieobecnych“ próżne miejsca z nakryciem. Poeta tak tłumaczy ów obyczaj:

„I trzy krzesła polskim strojem
koło stołu stoja próżne.
I z opłatkiem każdy swoim
Idzie do nich spłacać dlužne.

I pokłada na talerzu
Anielskiego chleba kruchy;
Bo w tych krzesłach siedzą duchy,
Co z ojczyzną są w przymierzu“...

W dobie niewoli był to symbol braterskiego pozdrowienia tych, co cierpieli za sprawę narodową, bądź w więzieniach, bądź na tułactwie, wśród obcych ludów, bądź na wygnaniu. Nie tracono jednak nadziei, że te trzy krzesła nie będą wciąż opróżnione, że jak sprawa narodowa prędzej, lub później, zwycięży tak i ci, nieobecni, wrócą. Wiara w zmartwychwstanie ojczyzny opierała się na głębokim uczuciu re-

ligijnem, ściśle łącząc się z uczuciem patriotycznym, była tamą dla łez zwątpienia. Miano wielokroć nadzieję wbrew nadziei, co powoływało licznych pracowników na pole pracy... Wołano więc...

„Ale Bóg się w ziemi rodzi,
Więc powraca znów otucha,
Że więźniowie drzwi otworzą,
Że wygnaniec przetrwa mękę.
I że tułacz z wolą Bożą,
Poda jeszcze wszystkim rękę“...

Dziś, gdy doba niewoli minęła, myśl nasza na opróżnionych krzesłach przy stole wigilijnym widzi nie postacie doby obecnej, lecz cienie odległej przeszłości, postacie „nieznanych bojowniczek“ życia narodowego, bojowniczek z epoki walk o niepodległość... O tych „nieznanych“, bądź „zapomnianych“ i pieśń nie mówi, i bluszczy nie oplata ich mogił... Nie miecz, nie kula były ich bronią. Troską, zapobiegliwością, poświęceniem, wielokroć bezbrzeżnym, walczyły i — niejednokrotnie zwyciężały te służebnice narodu... Polem ich zmagania się przeważnie były progi więzień, place, gdzie tracono orężnych bojowników, ścieżki strome, kaleczące nie stopy, ale godność niewieściami, prowadzące do katów różnego miana, do pośredników wpływowych, za których pomocą można było zmienić nieco wyrok, ocalić młode życie od śmierci niechybnej.

Tak było w miastach, w stolicy, lecz za dni powstania styczniowego rozszerzyła się działalność wśród wiesek, borów, inna; ciężka, nawet dla ramion męskich, trudna do dźwigania ukazuje się działalność owych bojowniczek „nieznanych“, „zapomnianych“... Biorą one na swe słabe barki zadanie „kurjerek“ obozowych, gońców organizacji, intendenturę powstańcza i szpitalnictwo i zresztą wszystko, co koniecznym było do prowadzenia walki na znacznych przestrzeniach, w warunkach najtwardszych.

A ilość tych pracowniczek? Ilość — legion, a nazwiska przeważnie zatraczone... Wśród naszej wizji wigilijnej śpieszą, dążą do opróżnionych miejsc przy uroczy-

stej a g a p e tłumy owych „nieznanych bojowniczek“.

Widzę jd... Jednych widzi jeno pamięć moja, ze starą tradycją połączona, inne to duchy ongi mi znane... Z dawnej przeszłości, okrytej wielką ilością lat, ukazuje się z epoki listopadowej duch Joasi Boczkowskiej — z patriotycznego miasta Żytomierza — duch młodociany, niezmiernego poświęcenia, za życia już „białym aniołem“ nazywany... Młoda, niezamężna dziewczyna skupiała w sobie całą troskliwość o jeńców z bojów listopadowych „przepędzanych w dniach grudniowych 1831 r. przez Żytomierz, skupiała całą dobroczynność miasta, i później całą działalność patriotyczną ówczesnego społeczeństwa... Do smutnych, zgnębionych szła ze spokojem i pogodą prawdziwego anioła pocieszyciela, dlatego też słusznie ją nazywano „Cichym Aniołem“... Po paru latach jakieś podejrzenie spowodowało jej uwięzienie: osnuto sprawę groźną... Kilka miesięcy trzymana w więzieniu, surowo badana, smagana różgami, znieważana, mocno na zdrowiu zapadła. Gdy była bliska zgony wypuszczono ją za poręką. Po kilku dniach tej niby wolności zgasł „Cichy Anioł“... Aniołowie na ziemi długo nie goszczą.

Po latach trzydziestu od dni epoki listopadowej doba styczniowych walk wywołała dziwnie liczne zastępy niewiast, strzegących gniazd rodzinnych, wspierających walkę tak bardzo nierówną, tak niezmiernie ofiarną, a rozlewającą się na wielkich przestrzeniach. Z owej doby duchy, „co z ojczyzną są w przymierzu“, tak były liczne, iż przy dzisiejszych biesiadnych stołach zbrakłoby dla nich miejsc, gdyby z poza światów zleciały na ową ziemię polską, o której niepodległość różnemi sposobami walczyły...

Widzę je. Widzę w mej myśli, w mej pamięci. Nazwisk przytoczyć już dzisiejsza chwila niewiele może. Widzę je, jak stoją oblewane strumieniami wody z sikawek straży pożarnych u bram cytadel, by rozproszyć te, co dążyły do progów więziennych z pożegnaniem ostatniem, z uściśnieniem

dłoni swych najbliższych. Słyszę jęki katowanych niewiast na tak zwanym „Pawiaku“... To siostry Guzowskie, wysłane później do katongi syberyjskiej. Widzę — jak gdyby w swym bezbrzeżnym bólu skamieniała — Houwaldowa, z Wilna, pędzona do katongi. Wzrok jej szuka dokoła, a znaleźć nie może, dwojga jej malutkich synków, których Moskwa porwała i rzuciła w głąb swych ziem, na zatracenie... Jej usta wymawiały tylko dwa wyrazy — imiona zabranych dzieci... Ani jedna łza z jej oczu nie spływała, ani jeden okrzyk bólu nie zabrzmiał — była niby ze spiżu ulanym posągim rozpaczy bez nadziei.

Lecz nie kończy się jeszcze ów korowód jasných, poświęcających się duchów niewieścich. Na tle życia dawnej Warszawy, ukazują się postacie dwóch wytrwałych wielkich redemptorystek brańców, w cytadeli oczekujących rozstrzygnięcia losów swych. Imiona ich głęboko wyrte we wdzięcznej pamięci tych niegdyś więzionych, bliskich szubiericy lub katongi. — Imiona ich: Monika i Olimpia, późniejsza Pożerska, zmarła na emigracji, we Francji, podczas wielkiej wojny... Imiona owych — nazwisk nie ujawniały często przed najbliższymi, bo były to nazwy, obce, rosyjskie, wzięte po ojcach, gdyż z matek otrzymały niepospolitego ducha polskiego...

Niech pod temi imionami pozostaną w chlubnej pamięci dziejów umęczonej Polski... Niech pozostanie bezimiennem i to zatracone imię dziewczęcia na Litwie, które rani siebie, aby krwią własną zmylić pościg zbirów, szukających powstańca śladami jego krwi... „To nie krew powstańca, to moja“ — wołało dziewczętko.

Gaśnie gwiazda Betlejemaska, chmury dzisiejszej rzeczywistości ją zasłoniły, cienie nieznanych pracowniczek zniknęły w pamięci wielu, lecz to, co najcenniejszem było w głębi ich ducha, oby pozostało w umysłach matek, piastunek młodych pokoleń, owych przyszłych obywateli, pracowniczek na polu życia narodowego Polski wskrzeszonej.





HELENA BOGUSZEWSKA

CHOINKA



Boże Narodzenie było jeszcze daleko, kiedy w domu zaczęło się mówienie o tem, że nie będzie wcale choinki. — Bo w tym roku, to już zupełnie niema za co — powiedziała matka głosem rozdrażnionym i trochę innym, niż zwykle.

Stała właśnie przy oknie i przysłuchiwała się pod światło granatowej sukienki starszej dziewczynki. Czy opłaci się jeszcze przerabiać na młodszą, czy szkoda roboty, bo i tak zaraz się podrze?

Duży brat, siedząc przy stole, podniósł głowę z nad książki.

— Jeżeli w tym roku ma być tak ciężko, to naprawdę bez choinki możnaby się obejść. U nas w klasie przynajmniej połowa nie będzie miała choinki. Przecież nie jesteśmy już takie małe dzieci, żeby koniecznie, gwałtem...

Spuścił nos w książkę. Gadał, jak dorosły. Był już w piątej klasie i mówił: „facet”, „pasazer”, „nie bujaj gości”. Bardzo to imponowało dziewczynkom. Tym razem jednak wcale im się nie podobało, że mówił, jak dorosły. Zapomnieli, że to nie on, tylko matka zaczęła o tej choince. On tylko powtarzał za matką. Zakrzyczali go.

— Mamo, niech on mówi za siebie, a nie za nas. Prawda, mamo?

— Bo my bardzo chcemy mieć choinkę, a jak on nie chce, to niech się do nas nie wtrąca. Prawda, mamo?

— Mamo, niech mama mu powie, żeby się do nas nie wtrącał. Dobrze, mamo?

Ale matka nie powiedziała nic. Usiadła na kanapie z granatową sukienką na kolanach, z opuszczonymi rękoma, i patrzyła w okno na odrapany, czerwony mur.

Dzieci niebardzo do serca wzięły tę rozmowę. Bo już nieraz nie było za co, a potem było za co. Więc myślały, że i teraz tak będzie.

Troszeczkę jednak były niespokojne i leżąc w łózkach wieczorne, długo gadały pociemku.

— Jak myślisz, ile może kosztować choinka taka niewielka, taka jak ta szafa?

— Czy ja wiem? Dwa lata temu, jak ciocia przyjechała na święta, to choinka kosztowała sześć tysięcy.

— Głupia jesteś. Tamta choinka była do sufitu. A teraz są złote, nie żadne tysiące.

— Ale wtedy były tysiące.

— No to i co?

— Dzieci, nie gadajcie, tylko śpijcie — woła matka z drugiego pokoju. Umilkły na chwilę, ale zasnąć nie mogły, bo były jednak trochę niespokojne. Przecie Święta szły. Widziało się je na ulicy i w sklepach; poznawało się po różnych paczkach, zawiniętych w papier, i po tem, jak ludzie śpieszyli, i po chłopcu od zieleniarki zdołu, że przygotowywał już krzyżaki, jak zeszłego roku. I jeszcze po czemś, od czego w tamtych latach szczęście aż rozsadało, a w tym roku, to tylko gryzł niepokój...

Więc nic dziwnego, że nie mogły zasnąć. Po chwili znów zaczynają szeptem.

— Jak myślisz? Czy nie będzie choinki? Ale powiedz tak naprawdę.

— Bo ja wiem? Czasem mi się zdaje, że to tylko na niby, a czasem, że naprawdę nie będzie. Ale znowu, jak sobie tak pomyślę, to mi się tak jakoś robi, że sama nie wiem.

Matka cicho weszła do pokoju. Widocznie wszystko słyszała. Stała sobie koło szafy tak, że trochę światła z podwórza padło na jej twarz. Musiała być bardzo zmęczona. Zaczęła powoli mówić.

— Bo widzicie, sama choinka, to jeszcze pół biedy, ale tyle rzeczy trzeba do niej dokupić: świeczki, papiery, złoto, cukierki, orzechy, to wszystko... Na to idzie cała masa pieniędzy. Przecież wiem, jak jest co roku.

Milczenie. Tylko najmłodsza dziewczynka po chwili:

— Mamo, bo my wolimy, żeby była choćby najbrzydziej ubrana, tylko — żeby była.

Nikt nic nie powiedział.

A Święta szły. Już były całkiem blisko, chwilami nawet tuż obok. Kryły się w lesie choinek na placu przed kościołem, wyglądały z poza festonów kolorowych świeczek, zawieszonych na nitce w oknie mydlarni, wychylały się z za piramidy bakalji u kupca na rogu, dźwięczały

w mroźnem powietrzu w dzwoneczkach sanek, do których akurat wsiadł gruby pan z całą masą paczek.

Tylko w domu ich nie było. Tylko w domu było całkiem zwyczajnie.

Dzieci zrobiły się smutne. Zwłaszcza dziewczynki. Bo duży brat chodził sobie, jak dorosły, z rękami w kieszeniach i mówił po swojemu.

— Cała ta szopka, to zawracanie głowy. Jak mam wolne i nie łażę do budy przez piętnaście dni, to i bez choinki będzie morowo.

Ojciec mało bywał w domu. A jak był, to mówił z matką o ratach, banku, prolongatach, wekslach.

Starsza dziewczynka rozumiała cośkolwiek, ale ją to nudziło. Młodsza dziewczynka nie rozumiała nic, ale podobały się jej dziwne słowa. Rozweseliła się i zaczęła sobie przyspiewywać: raty, raty-prolongaty, raty, raty-prolongaty; i przypływała w coraz to innym kwadracie posadzki. I tak kolejno przez cały pokój.

Aż ją matka musiała uciszać, że to wcale nie do śmiechu, i żeby się ojciec nie rozżłościł.

I słusznie. Bo ojciec był teraz ciągle zrytowany — a przy obiedzie powiedział tak niby w powietrzu, a niby do wszystkich:

— Tylko wy już wyperswadowujcie sobie w tym roku choinkę i te tam... jakieś inne różności. Już o tem to ani mowy.

Nikt nie odezwał się ani słowem.

A gdy nadeszła wilja, nikt nie wyszedł na balkon zobaczyć, czy już jest pierwsza gwiazda. Nikt nie przypiekał nad lampą opłatka. Bo jak już ma być tak, to niech już nie będzie zupełnie nic.

Siedzieli przy wieczerzy, bardzo podobnej do zwykłego obiadu. Milcząc jedli czerwony barszcz i wyławiali z niego uszka z grzybami. Wszyscy robili takie miny, jakby tak właśnie miało być dobrze. Ojciec niby trochę żartował, a matka niby trochę się uśmiechała. Dzieci siedziały, jak okradzione.

W przedpokoju ktoś zapukał do drzwi wejściowych. Nie zadzwonił, tylko zapukał, a potem poruszył klamką. A potem szeptał z Kasią niewiadomo co.

Weszła Kasia.

— Proszę pani, chłopiec od zieleniarki mówi, że mu zostało parę choinek, z tych niedużych. Nie rozkupili mu i zostały. Drogo nie weźmie.

Dziewczynki aż podskoczyły na krzesłach. Nawet duży brat zapo-



mniał o swoich „facetach“ z piątej klasy; wlepił okrągłe oczy w ojca i wyglądał, jakgdyby był z niego całkiem mały „gość“. A ojciec skwapliwie grzebie w portmonetce.

— Niech przyniesie co tam ma.

Zawrzało, jak w ulu. Młodsza dziewczynka poprostu dusi ojca za szyję. Duży brat przysuwa stółek

do szafy, żeby zdjąć pudło ze staremi ozdobami.

Starsza dziewczynka naradza się z matką.

— Mamo, ale czym ją ubierzemy, mamo?

— W pudle są łańcuchy i ten aniołek, co to od cioci — w biurku, w szufladzie na prawo widziałam

różową bibułkę, zrobimy koszyczki, dobrze, mamo?

— Świeczek dostaniemy jeszcze na dole w mydlarni, prawda, mamo?

W przedpokoju słychać kroki i szelest gałęzi, szorujących o ścianę wąskiego przedpokoju. Już, już.

Zapachniało mrozem, lasem, Bożem Narodzeniem.

Weszły Święta.



ZOFJA NAŁKOWSKA

SZCZĘŚCIE



d ostatniej wizyty mojej dwóch umarło.

Pierwszy umarł ten, który rzeczywiście był najbardziej chory.

Pamiętam, że gdy go za pierwszym widzeniem zapytałam czegoby chciał, po długim namyśle odpowiedział, że chciałby gorącej wody wieczorem.

Można było naprawdę myśleć, że nie brakowało mu nic, że miał wszystko — skoro mógł pragnąć tylko rzeczy tak mało znaczącej, tak nic nie wartą.

A przecież, aż do końca nie dostawał wieczorem tej wody gorącej, której jedynie chciał. Tak! — kocioł bowiem jeszcze wówczas był tak mały, że istotnie nie dla wszystkich wystarczało. Ale teraz jest już nowy, większy.

Leżał przy samem oknie, mógł ręką dotknąć jego czarnej kraty. Oddawał już odsiadywał tu swoją karę ośmiu lat.

Miał twarz dużą, bardzo białą i chudą, osypaną piegami. Najbardziej indywidualnego wyrazu nadawało jej znaczne oddalenie ust od nosa — małego i trochę zadartego. Ale wszystko to razem było zupełnie ludzkie, blizkie i niejako znajome.

Był ciężko chory, mówił z wysiłkiem, często tracąc oddech. Leżał, jak wszyscy, na drewnianym tapczanie i sienniku, ale pod biodro podsunęta miała gumową poduszkę — dziwnie świeża i jakąś zbyt elegancką tym swoim czerwonym kolorem przy smutnym szarym kocu.

Odrzuć było widać, że nie dożyje końca kary. Ale nie o tem mówił. Mówił właśnie tylko o tej gorącej wodzie. Ale gdy to mówił, drgała mu broda, jak u dziecka, gdy chce płakać. Było w nim to najzwyklejsze, to doskonale znajome: był zdenerwowany.

Bo przecież nie tylko był chory, nie tylko miał gorączkę, kaszel,

duszości, ropień w biodrze, nie tylko miał umrzeć. Ale jeszcze nigdy już nie miał odejść stąd, z tego tapczana pod oknem, z tej poduszki gumowej, z tego więzienia. Nie miał rodziły. Ktoś tam umarł. Ktoś już dawno nie żył. Pisać nie było do kogo.

Miał dwadzieścia osiem lat umierając. I nikomu na świecie nie zależało, aby żył, nikt nie pytał doktora z niepokojem o jego stan, nic to nie znaczyło zupełnie, nic to nikomu nie szkodziło, że tu umarł.

A ten drugi leżał w innej celi i też niedaleko od okna! Miał prawą rękę obciętą do łokcia przez sieczkarnię, jeszcze w dzieciństwie — i mimo to umiał jakoś wziąć udział w napędzie bandyckim. Odbył długi szereg lat kary, a teraz także umierał.

Twarz miał okrągłą, nabręklą — i w tej żółtej, zapuchłej twarzy, oczy brązowe, bardzo wypukłe i skośne, nos zadarty i nozdrza, w które można zajrzeć głęboko.

Było ich tam tylu, w tych celach szpitalnych, że nie pamiętam już czego ten domagał się za pierwszym razem. Ale i jemu trzesły się usta i broda, i ten był — zdenerwowany.

Zato pamiętam, że kiedy widziałam go po raz ostatni, powiedział mi cicho, wyznał, jakby poufnie, że jest z nim bardzo źle. I coś jeszcze dodał, czego nie dosłyszałam.

Gdy nachyliłam się bliżej, powtórzył drugi raz to samo.

— Ciężko wytrzymać.

Tak, to właśnie czuł przy końcu, że już: ciężko wytrzymać.

Te jego słowa powtarzałam sobie później czasami. Myślałam, że jako formuła, są poprostu nieastapione. Że naprawdę wszystko zawierają.

Umieranie jest rzeczą trudną do wytrzymania. A umrzeć jest właśnie tem, co już przechodzi siły człowieka.

Więc oto, ci dwaj umarli. Ale na ich miejsce przvbili nowi, przedtem zdrowi, z innych cel do tych cel szpitalnych, gdzie jest prawie wyłącznie gruźlica, gdzie może dwóch, czy trzech na kilku, dziesięciu, jest chorych na co innego.

Zatrzymaliśmy się przy jednym nowym łóżku. Był to wiezień, znajdujący się pod śledztwem, od dwóch lat napróżno oczekujący tutaj na termin sprawy.

Dziesięć dni dopiero jak się rozchorował. Ale teraz codziennie ma krwotoki. Tak to predko idzie.

Był młody, miał wątlą, cienką, regularną twarz, ostry profil, niechętnie oczy.

Zorjen'ował się, kto jesteśmy, odpowiadał grzecznie, ale mało. Nie skarżył się wcale, nic prawie nie chciał.

Gdy pofaliśmy, podnosił ciemne oczy i patrząc, milczał przez chwilę, jakby spობił się do wysiłku.

Jakże panował nad sobą, by nie okazać słabości, uśmiechał się nawet jakoś, powstrzymując chęć płaczu. Ale nie mógł powstrzymać ustawicznego, cichego, suchego kaszlu.

Odeszłam stamtąd, jak zwykle do mojego życia. Przeszłam jedną bramę, podwórze i kancelarję i znowu bramę. Odjeżdżając, obejrzałam się jeszcze na te szare, długie murv. Wydawały mi się napęczniałe od żądzy, od wciąż żywej nadziei ucieczki.

Każdy z nich zawsze o tem myśli. I to staje między nimi, a nami.

Poco przychodzimy, skoro nie w tem, co jest najważniejsze, chcemy im pomóc. Bez tego wszystko inne nie ma wartości.

Więzienie — to możliwe największe skondensowanie, poddanie najwyższemu ciśnieniu — marzenia o wolności,

Dozorca opowiadał nam to, co ów nowy chory przemilczał, czy nie mógł powiedzieć, że wysłał już dwa podania, że czuje się

niewinny, że w cudzą sprawę zamieszało go jedynie wymienienie jego nazwiska. Ale termin sprawy dotąd nie jest wyznaczony.

Gdy się rozchorował, przyjechała na widzenie jego żona. Jechała dwie noce i zaraz musiała wracać do swej pracy. Zostawiła mu kilkanaście złotych i odjechała we łzach. Nawet w więzieniu byli wzruszeni, widząc ich pożegnanie. Nikt nie wątpił, że nie zobaczą się więcej.

A przecież stało się inaczej.

Nie ja byłam tą szczęśliwą, która przysłała mu powiedzieć, że starania wreszcie cię udały, że jest wolny.

Ale zdążyłam być na stacji, gdy odjeżdżał.

Znalazłam go na ławce w poczekalni III-ej klasy, w gumowym, zniszczonym palcie, w szaliku na szyi i czapce podróżnej. Jego cienki delikatny profil był teraz daleko ostrzejszy, a ciemne oczy wydawały się jeszcze większe i zupełnie płomieniące.

Młoda, miła żona kupiła już bilety, kupiła winogron na drogę. Oczywiście miała czerwone, bo znowu jechała przez dwie noce. A może płakała także.

Nie dawaliśmy mu mówić. Jeszcze przed dwoma dniami miał silny krwotok. Ale nie słuchał.

— Wcale nie czuję się źle, jest mi lepiej — powtarzał i uśmiechał się.

Wyprowadziliśmy go na peron, gdzie już w tej chwili zajeżdżał pociąg.

Dzień był brzydki. Po całych tygodniach upałów, zerwał się właśnie zimny wiatr, było pochmurno i sucho.

Przeszedł jakiś człowiek, niosący pęk związanych butów.

— Ile butów niesie!

Podtrzymywaliśmy go, bo nie było tu gdzie usiąść. Nic prawie nie potrzebował pomocy. Był taki lekki.

Rozglądał się na wszystkie strony. Przechodził żołnierz, czy oficer.

— O, teraz mają już inne naszywki!

Tak, wiele się zapewne zmieniło na świecie przez przeciąg dwóch lat. Tragarze wynosili walizki, podróżni ustawiali się już szeregiem wzdłuż toru.

— Jestem szczęśliwy — powiedział powoli. I jeszcze raz powtórzył.

— Jestem szczęśliwy.

Później lokowaliśmy ich w wagonie, upewniliśmy się, że będzie mógł leżeć. Miał jasek, miał koc.

Mówiliśmy jeszcze to i owo, ale przecież i ostatnie, i najważniejsze dotąd wydają mi się te słowa:

— Jestem szczęśliwy.

Mieli nam zaraz po przyjeździe napisać, jak się odbyła podróż, czy dobrze dojechali do domu.

Istotnie — dowiedzieliśmy się później, że dojechali dobrze, ale w miesiąc po przyjeździe on umarł.

Jak w paru innych wypadkach, i tym razem uwolnienie przyszło za późno.

Ale ten od azd z brzydkiego, posępnego dworca, w pochmurny dzień wczesnej jesieni, do dzisiaj pozostawił w pamięci mojej wspomnienie — szczęścia.



MARYA JEHANNE WIELOPOLSKA

DEPOZYT



Je vais tuer le rêve immense, qui t'accable, et je vais être implacable, pour avoir plus de pitié de tes sanglots amers, invoquant l'amitié, de tes yeux éffarés, d'où jailliront des larmes, de tes bras suppliants, qui auront plus de charmes..

(Jean-Joseph Rabearivelo)

Listopadowe dni są jednakie. Jednakowość ich jest listopadowa. Wszystko jest na wspak.

W listopadzie umarli i niepotrzebni przychodzą. Odchodzą żywi i potrzebni.

Świece się palą umarłym i ślepym. Żyjącym zaś i widzącym jest ciemno.

Ludne są cmentarze, puste są mieszkania.

Na grobach kładzie się chleb i kwiaty, a kamienie ciska się przechodniom.

Wieczne odpoczywanie wymadla się tym, którzy dawno odpoczywają. Odmawia się spoczynku tym, którzy są niewiarygodnie zmęczeni.

Grzebie się z fanfarami szczątki bez wartości. Rzuca się gdziekolwiek bądź, gdzie się zdarzy, cicho i trwożnie, droższe niż życie pamiętka. Światłami lampek gorejących dają znać umarli, gdzie są, choć ich nikt nie szuka, a żaden drogowskaz

nie prowadzi do zgubionej zabawki najmilszej, do listów podartych przez zornie, do drobniaków, nie mających nazwy, daty, ani ceny, a ważniejszych niż śmierć.

Wszystko na wspak.

Gnają chwile ku jednej mecie. Zdaleka płonie nam jej reflektor ostatni. Listopadowy.

Nad pustynią wody świeci nam za miast latarni morskiej owa gromnica.

Jakiś latarnik punktualny przygasa ją, rozpala i reguluje światłem chybocącym. Płonie pacyficznie, nieskazitelna, nad głębią kobaltową. Fale podbiegają do niej w niezmienną kolejności, zagarniają mechanicznie jej odbicie i roznoszą jej obecność po pełnym morzu.

Morze jest pełne jej i nas.

Jednakie są dni listopadowe. Listopadowa jest ich jednakowość. W zaginiony błękit mroźny, odpływają okręty.

Pożegnalne fontanny dymu tryskają. Wyrazem niepokoju jest wrzawa. Aby mógł odpłynąć okręt, huczą motory i dudnią wszystkie maszyny. Inaczej nie odpłynąłby nigdy, serca bowiem protestują

i łkają u brzegu. (Jedno serce mogłoby zatrzymać rozpęd motorów).

Nad wodą tuż tak, że się obie łagodnie we wodzie odbijają — jedna na dłoń kładzie się wnętrzem na wnętrzu drugiej dłoni. Chwieją się płomykiem nad przepaścią, ale jeszcze silniej drga ich odbicie w wodzie. Szczersze są w wodzie. Fala porывa ten uścisk rozdzielający i milczący niesie aż na wielkie morze.

Morze jest więc pełne rozdarcia i milczenia. Morze jest całe tylko rozdarcie i milczeniem.

Kto mówi w takim momencie?

To nie my.

Żegnasz mnie? Na długo? na zawsze?

Wszystko jest na zawsze, bo w takiej chwili nie spotkamy się już nigdy. Chwila będzie inną i my inni oboje. Ból strawi kogo ma strawić i przecieknie przez skostniałe palce ostatni promień słońca. A kto ma zapomnieć, zapomni.

Żegnasz mnie? Daj jakiś znak.

Niech na rubieży rzeczy nienazwanych, spocznie cień jeden realny. Ucałować chcesz końce śmierci? nie zziębłych moich rąk?

To nie to, Kochany.

Pocałunek nie jest rzeczą realną. W sferze pożegnań, które uczyniają nożem nazbyt krótkie spotkania, pocałunek nie jest rzeczą realną. Daj jakiś znak realny.

Wracamy do życia — ach tak. Gdzieś na granicach wodnych i lądowych — jakieś cła ponoś, zakazy, rewizje. Masz broń? Ano tak,

prawda! Zabijać wolno, ale nie wolno mieć broni...

Więc nad taflą wody wyciąga się znowu ręka i kładzie na drugą rękę, drobniejszą, ostrożnie cienki, zimny depozyt. Wzdryga się ona, lecz bierze.

Znowu w wodzie odbija się łagodnie dłoń, położona wnętrzem na

wnętrzu drugiej dłoni i mały przedmiot zimny.

W ułamkach niesie fala leniwie ten obraz na wielkie morze.

Dłoń moja jest teraz pełną, morze jest pełne, świat jest pełen znaku, który mi dałeś.

Czy wiesz, co się w tym znaku mieści...!?

MARJA KUNCEWICZOWA

BIAŁE I CZERWONE



nieg puszył się zewsząd i kokietował, jak angorska kocica. Białe grzbiety szły a szły faliście, że słodko się robiło od tego wdzięku, od tej bezgłosej pieszczoty.

Koło południa mróz zelżał i teraz powietrze dyszało przyjaźnią. Nie była to przyjaźń wiosenna, o gorących ustach, przyjaźń, co napełnia szaleństwem; raczej — pocałunek dorosłego brata dla młodej siostry. Między świerkami — choć nie spotkałeś ptaka, ani wieiórki — drżało życie poufne, jak w wiejskich rodzinach. Każda szyszeczka porzucona na śniegu, każdy ślad kierpca miał swoje znaczenie, swoją cichutką rolę. Nie odzywał się nikt, zwierzęta spały, ludzie pili gorzałkę po karczmach, albo tańczyli u Trzaski — jednak w lesie aż pachniało duszą, ni to w pokoju, z którego na chwilę wyszła serdeczna kobieta. Na polanie — w pośrodku — leżał szmat światłości, weselszy od policzków dziecka, bardziej różowy, niż krymskie jabłko. Zaraz obok rzuciły czyjeś ogromne ręce smugę z atlasu, szafirową i świeżą, niczem przyłasczki. Tam, gdzie jej rąbek zachodził w cień pod świerkami, strzępiły się gałęzie sztywne od szronu, tak zadowolone z własnej urody, że, nie mając warg, uśmiechały się przecież — milczeniem. Zula i Piotr wracali z Kalatówek na nartach. Nogi już były ciężkie, przełamane krzyże, pod czaszką mróz nosił się lśnąciami falami, twarz gorzała. Pietrek huknął, jadł śnieg garścią i rad byłby całował nosek Zuli z tem samem żrebięcem weselem, co za dni dzieciństwa, kiedy na tekturowy łeb koński spadały pieszczoty zalepione landrynką. Zula sunęła spokojnie. Syciła się swoim zmęczeniem w skupieniu, jak cierpkim owocem. Białość drogi, coraz bardziej ide

alna w miarę uchodzenia słońca, opływała ją na podobieństwo futra. W oprzędzie bieli, własnego oddechu i wstających gwiazd szła bardzo szczęśliwa. Wreszcie z pod czapy śniegu mignął was Chałubińskiego — wkroczyli w jego ulicę. Sanki coraz gęściej leciały im naprzeciw, bo „goście” ruszali już na flirty z księżycem; gromady swetrów, człapiąc kapcami, snuły się wśród śmiechu, dzwonków i gadaniny. „Zofiówka”, „Hawranek”... aż i strumień wytoczył dymiącą ślinę. Zula i Pietrek zatrzymali się sekundę na progu pensjonatu, żeby, zamknawszy oczy — zobaczyć raz jeszcze miniony dzień: bezgłosą kotkę, albo pocałunek starszego brata, albo jeszcze dom brylantowy na chwilę opuszczony przez kobietę.

Zula drżącymi rękami rozebrała się przy świecy. Zmęczenie — w cieple — napęczało; trzeba było czemprędzej dać ciału bezwład i noc. Kiedy bosa stopy utonęły w kołdrze, a głowa w poduszce, Zula podziękownie spojrzała na pokój. Stolik stał w pośrodku sadzawki, uczynionej z księżycowego światła, na szafie także drzemał płatek tego światła, niby skrzydło wielkiego motyla. Od pieca biło na wsze strony gorąco, więc deski pułapu i ścian wspominały lipiec. trzeszcząc z lubości. Panna, tak samo upieszczona, jak one, kuliła się w kłębek. Sen był tuż za powieką; starczyło mrugnąć, żeby spłynął na twarz. Ale radość nie chciała snu; głosem szczygła ćwierkała rzeczy śmieszne, zupełnie nieważne. Słowo, które najczęściej wskakiwało z jej gardziółka było: śnieg. „Śnieg jest bardzo czysty. Śnieg jest biały. Regle są, jak ogromne koty, prześcieradło jest czyste, księżyc jest biały; nie zielony wcale; nie — biały”. Ikrew w Zuli biega czysta, jak brylantowy strumyczek,

„i Pietrek ma biały sweter i czyste oczy... Jak śnieg, jak śnieg, jak brat, jak śnieg...” Słuchając ptasiego szczebiotu. Zula zasnęła.

Dobrze z północy, kiedy księżyc zdjął już z szafy motyle skrzydło, a zielona sadzawka spłynęła w sam kąt pokoju — za ścianą ktoś zakaszlał. Leciutko, łaskotliwie. Potem znowu. Któraś z desek odpowiedziała skrzypem. W pokoju było już chłodniej i o wiele puszciej. Kaszel nagle podskoczył na wysoką nutę, i zariał. Zula otworzyła oczy; lustro zerknęło krzywo. Wtedy głos za ścianą rozlubował się w kaszlu: pierwotne ciche naszczekiwanie przechodziło stopniowo w skowyt, w jęki, w schrypięty wrzask. Zula siedziała na łóżku. W miarę, jak kaszel siepał się coraz natarczywiej, wracała jej świadomość, a z nią strach wyciekał z czerni, rzekłbyś ciało padalca ze stawu. — „Ta choroba jest za ścianą i zjeje mi przez szparę prosto w usta. Gdzież jest flaszeczka z lysolem, którą matka tak często chwyciła do ręki? Gdzie jest ten słoik z karbolem, co stał w apteczce, kiedy byliśmy mali? O Boże, co trzeba zrobić, żeby zamilkło to straszne gardło?! — Oczami zielonemi ze zgrozy Zula pełgała z przedmiotem na przedmiot, badając, czy zaraza położyła już na nich krępane ślady. I teraz dopiero — bez jazgotu głupiej radości, bez kłóty, bez śniegu — zobaczyć było można, że te przedmioty miały wysypkę, że stolik stał pokracznie na gruzliczych pischcelach, że na podłodze czerniały plamy, jak wypieki i że łóżko, łóżko było brudne... Wstrętne ślizkie prześcieradło lizało nogi, w poduszce szemrały całe światy bakterji, a do czystej brylantowej krwi już się zapruszyło śmiertelne żdziebelko... Zula sztywniała. Za ścianą tymczasem kaszel spadł na niskie wzdechy, na ziewnięcia. Wreszcie zacił. Ostrożnie wracała cisza. Serce

panny złapało rytm równiejszy, do pokoju zajrzał Saturn — czysty, jak zawsze; i tułów węża ledwie już falował na krawędzi nocy. Tylko patrzeć — sen znowu siądzie na powiekach. Zula osunęła się w poduszki. Aż tu... raptem za jodłowemi deskami wykiełkował płacz — niedołężny, chory — strzępek bólu drżący na wietrze. Potem z płaczu urwały się słowa. Coś gadała sąsiadka.. Zulę chwycił gniew. „Czego chce ta stara kobieta? Czemu truje krwią ze swoich brudnych płuc te wszystkie rzeczy, które są dla mnie? które obielił śnieg, wypolerował księżyc, i które Pietrek dał mi na własność? Kto pozwolił tej starej kobiecie?!“

Rano Zula wstała świeża, jak źródło. Nie miało być nart. Zwyczajny spacer w kapcach do Strążyskiej; może za Bramkę... Piotr — wiadomo — już siedzi w jadalni i, naburmuszony, spoziera na zegarek. — Urwał się guzik u swetra! — Nic. „Niech czeka pan Piotrusiński, niech się nadyma!... niech sobie śnieg jeszcze głośniejsze pachnie cyklamem, niech słońce skrzypi dziesięć razy tak pomarańczowo!... Będę żyć, i marudzić, i przypalać włosy“.

O dziesiątej dopiero wyruszyli w kapcach — Zula z Piotrem.

Na werandzie obok pokoju Zula stała jakaś pannica i sypała wdół oko do Piotra. „Ładna“ — oświadczył Piotrusiński. Poczem zaciął

się, że musi zaraz nareperować sanki. Naprzeciwno werandy majstrował bez końca, gęsto kokietując pannę. Zula tupiała ze złości. Nagle piękność podniosła szal do twarzy, zachłysnęła się kaszlem i wbiegła pędem do pokoju.

Na Zulę buchnął ogień. Ten straszny sen?... ta rana w pośrodku nocy?... Więc „stara kobieta“ ma oczy z topazów! A chrypliwe płuca? A krew?...

Poszli do Strążyskiej — Zula z Piotrem. Przed nimi biegła kotka z czerwoną raną na szyi, na spotkanie wyszedł brat z krwią na ustach, a za nimi stał dom, z którego pani wyść miała na niepowroty.

HELENA CEYSINGERÓWNA

TRZY DZIEWCZYNKI

(Wspomnienie)



dy zbliżają się święta Bożego Narodzenia myślę zawsze o tych trzech dziewczynkach.

Były to dwie Maniusie i jedna Bronka. Starsza Mani-

sia miała dwa lata i pół, była biała, tłusta, spokojna i bezmyślna; druga Manusia dwuletnia — przeciwnie — patrzyła na świat mądrze, przedwczesną mądrością czarnemi oczami i grymasiła prawie nieustannie, trawiona jakąś wewnętrzną chorobą. Broneczka, wreszcie, było to miłe, ładne, zdrowe dzieciątko, nie mające jeszcze roku.

Wtargnęły w moje życie na krótko, na trzy dni, a wryły się w pamięć głęboko.

Biedactwa.

Bo nie były to żadne trzy królewny! Ot poprostu — dzieci polskiego proletariatu, rzucone na bezdroża europejskie, wichrem wielkiej wojny.

Skąd je wzięłam?..

Przywiozłam je sobie z cywilnego obozu jeńców w Harelbergu pod Berlinem.

Byłam wtedy tymczasową kierowniczką polskiego Biura Opieki nad jeńcami polakami w Niemczech.

Biuro, mające siedzibę w Berlinie, znajdowało się w okresie likwidacji, albowiem już.. stało się wszystko, co się stać miało... Zawieszenie broni, rewolucja w Niem-

zech, — Polska niepodległa wolała już swoich synów do kraju...

I napisali do nas jeńcy z Harelberga, iż spodziewają się lada dzień rozwiązania obozu i powrotu do Polski, a są w obozie trzy sierotki, z ktoremi niewiadomo, co począć..

Matki pomarły...

Z urzędniczką Biura, panią W., pojechałyśmy więc do Harelberga, by załatwić i inne jeszcze sprawy, a mianowicie uspokoić wrzenie jakie pod koniec niewoli opanowało tam nie tylko polaków, ale i innych byłych poddanych carstwa rosyjskiego — litwinów, łotyszów, białorusinów, żydów z polskich dawniej prowincyj, i nawet rodowych rosyjanów, zapomnianych całkiem i oddanych na pastwę losu przez bolszewicką władzę.

Wrzenie powstało na tle niepewności co do losu jeńców. Rewolucja niemiecka bowiem najpierw wypuściła jeńców z obozów, a w trzy dni potem wyłapała ich i zamknęła z powrotem.

Brak dokładnych wiadomości o tem co się dzieje na świecie, niecierpliwe pożądanie wolności, głód, zimno, wywoływały opór jeńców przeciw zarządzeniom władz obozowych, a opór ten pociągał bardzo przykre konsekwencje: porozbijane głowy, poranione boki, połamane ręce i t. d..

Pomnę, z jakim zaufaniem na wiecu obozowym ci wszyscy łotysze, litwini, żydzi składali losy

swoje w ręce Konsulatu polskiego w Berlinie, z którym wówczas już związane było nasze Biuro i którego przedstawicielkami byłyśmy tam w danej chwili.

Charakterystyczna rzecz.

Ci wszyscy mieszkańcy ziem dawnej Rzeczypospolitej poculi się w tym momencie obywatelami Państwa Polskiego i do niego z otchłani niedli swojej wyciągali ręce, jako do jedynego, na wschodzie Europy czynnika władzy, który się o los rozproszonych troszczył..

Jakoż w kilka dni później pojechali wszyscy do Wilna, Kowna, Białegostoku, Libawy, Rygi, Mińska, Witebska, jako polacy...

Miałam na wiecu chwilę dziwnego wrażenia. Gdy łotysze zwrócili się do nas z prośbą, aby rząd polski i ich także wziął pod swoją opiekę, wydało mi się, że stoję na olbrzymiej podstawie, sięgającej Dźwiny, Dniepru, źródeł Wołgi.

A potem... potem... podstawę tę tak skurczono.

Ale wszystko to do rzeczy nie należy.

Wywiozłyśmy tedy z obozu trzy sierotki.

Nie była to rzecz łatwa.

Wagony przepełnione do niemożliwości! Nas było dwie, dzieci maleńkich troje, a nadto pakunki z rzeczami tych dzieci, pochodzącymi przeważnie z darów jeńców, którzy, poza tem, złożyli tysiąc

kilkaset marek „na posag” dla „swoich” dziewczynek.

Na stacji w Harelbergu ukazanie się nasze zrobiło wrażenie. Przybiegały niemki z zapytaniem, co to za dzieci? Gdy mówiłyśmy, że z obozu jeńców, że matki pomarły w niewoli — płakały, pomagały nam nieść je do wagonów.

Serca wtedy były wstrząśnięte, każda z nich myślała o swoich poległych, albo ginących gdzieś, za światem, po sybirskich obozach jeńców. Dano nam możliwie dogodne, miejsca w wagonie i pojechaliśmy. Ale dwie uderzyły zaraz w płacz... prócz tej najstarszej Maniusi, która była zawsze niewzruszona i trochę idiotyczna. Przyznać trzeba, że najmniej z nią było kłopotu.

Najmłodszą Bronieczkę ja miałam na ręku, a drugą Maniusię — moja towarzyszką.

Przy pomocy flaszki z ciepłym mlekiem uspokoiłam maleństwo i wnet zasnęło. Ale ta druga Manusia, na rękach pani W. darła się niemiłosiernie, darła się tak, jak gdyby okrutny jakiś ból szarpał jej wnętrzności. A spoglądała z takim wyrzutem, tak mądrze i tak po męczeńsku.

Im bardziej dziecko płakało, tem energiczniej huśtała i podrzucała je na kolanach jego opiekunka. Wydało mi się, że to podrzucanie denerwuje małą. Oddałam więc pani W. uspioną już Bronkę, a sama wzięłam na kolana tę chorą i prawie aż zieloną na twarzy dziecinę.

Ułożyłam ją spokojnie i starałam się zrozumieć czego chce. Dodać muszę, że narazie przynajmniej żadne z tych dzieci nic nie mówiło. Manusia po chwili przestała wrzeszczeć i tylko jęczała z cicha. Przytuliłam ją do siebie, starałam się ogrzać ją, bo było zimno w nieopalanym wagonie i dziewczynka, względnie spokojnie, odbyła parogodzinną drogę do Berlina. Tylko po tej pierwszej próbie nie chciała już zejść z moich rąk.

Ach te tajemnicze, od pierwszego widzenia, od pierwszego dotknięcia sympatje i antypatje dziecięce...

Po wykąpaniu i nakarmieniu dzieci trzeba je było położyć spać.

Mieszkałam przy Biurze. W moim pokoju zatem przystawiliśmy do łóżka kanapkę, tak bym mogła patrzeć na dzieci i mieć je w pobliżu. Na kanapce, uspione już, ułożyłyśmy dwie Maniusie. Co do Bronki, o tej uprzedzono mnie, że przyzwyczajona była sypiać z matką, a po jej śmierci z kobietą, która się nią opiekowała, i że inaczej spać nie będzie. Wzięłam ją więc do łóżka. Nie wiedziałam jednak, że ta mała, najmiłsza, zresztą oso-

ba, nie sypia inaczej, jak oparłszy nos na piersiach swojej towarzyski. Przy takiej kombinacji trzeba leżeć na wznak nieruchomo, przez całą noc. To trochę trudno. Próbowałam więc jaknajdelikatniej ułożyć maleństwo w inny sposób. Daremnie! Budziło się zawsze z krzykiem, a co gorsza budziła inne dzieci, zwłaszcza Nerwową i trudną do uspokojenia Maniusię.

Po paru niefortunnych usiłowaniach zrezygnowana leżę spokojnie, mając przea oczami jasną główeczkę i czując na sobie ciepłe ciało dziecięcia. Oczywiście nie śpię i mam wrażenie bujnego i obfitego macierzyństwa.

Rano — nowe teatrum!

Trzy naraz dziobki piskłące otwierają się i wołają: papu!

Przynoszę jakieś mleko z bułeczka (n. b. kondensowane — bo w tym Berlinie nie dostaje się świeżego mleka, aż dopiero po długich staraniach i formalnościach), i karmię łyżeczką trzy naraz głodne pisklęta. Gdy daję jednemu wrzeszczy dwoje drugich.

O godzinie 9-tej schodzą się urzędnicy do Biura. Teraz już łatwiej. Pani W. zawodowa pielęgniarka kąpie dzieci i przebiera, inne noszą je na rękach, zabawiają, usypiają. Bezdziętne mężatki, starsze panny czują nadzwyczajny pociąg do tych dzieci. Chora Manusia nie uznaje jednak nikogo, prócz mnie. Nie pozwoli położyć się ani na chwilę. Męczeńskimi, mądrymi oczami patrzy szeroko na ten smutny świat... chwilami przymyka je, niby znużone śmiertelnie, ale nie śpi...

Nosząc ją na rękach, załatwiam urzędowe czynności. Cichutko mówi na mnie: mama.

Schodzą się do Biura różni interesanci, żartują, podziwiają, że tak umiemy piastować dzieci... że zaimprovizowanymi matkami stajemy się tak łatwo...

Trzeba jednak pomyśleć o umieszczeniu gdzieś tych dziewczynek. Biuro się likwiduje. My wszystkie wyjeżdżamy w różne strony świata. Należałoby oddać je do jakiegoś polskiego Zakładu. Telefony pracują, Zakład takiemu niema w Berlinie. Odwieźć do Poznania? W tej chwili to niemożliwe. Do pociągów, idących w tamtą stronę, oticerowie wskakują okna-

mi; dachy pociągów pełne są pasażerów; jadą na stopniach...

Co robić? Dowiadujemy się, że pod Berlinem istnieje przytułek, utrzymywany przez katolickie zakonnice. Jedziemy tam z panią W. Przyjęcie bardzo uprzejme — kawa z doskonałą śmietanką, jakiej smaku zapomnieliśmy już w stolicy głodomorów. Oprawdają nas po Zakładzie. Czyściutki, w ogrodzie, sale widne, służąca — polka; dzieci przeważnie z rodzin polskich, bo innych katolików tu niema, ale język niemiecki. Czujemy, że tu się w sposób słodki i katolicki germanizuje polskie sieroty. Ostatecznie zakonnice godzą się przyjąć dziewczynki tymczasowo, za opłatą, którą uiszczać będzie Konsulat polski i zwrócić je Konsulatowi, gdy już przejazd do Poznania będzie wolniejszy.

Wracam. Manusia płakała przez cały czas mej nieobecności; wyciąga do mnie ręce z taką żałością i na moich kolanach usypia wkońcu.

Nazajutrz, a było to na parę dni przed Wigilią, odwozimy dzieci do przytułku. Od ostatniej stacji i kolei miejskiej do Zakładu jest z półtora kilometra drogi. Po śniegu wieczorem już toczą się dwa wózki, w nich małe sierotki polskie. Śpią opatulone.

Świeże, ciche powietrze dobrze im robi po zaduchu izb obozowych. Wszystkie trzy śpią spokojnie. I tak śpiące przeszły z rąk naszych w ręce zakonnic niemieckich. Wróciliśmy smutne i z dziwnie przykrem uczuciem.

Dokumenty dzieci, pieniądze złożone przez jeńców, umowę z zakonnicami złożywszy w Konsulacie, wybierałam się w drogę powrotną do Warszawy. W dzień Wigilii jednak byłam jeszcze w Berlinie. Po południu pojechałam odwiedzić moje trzy dziewczynki. Było już ciemno. Dzieci spały. Pozwolono mi wejść do sypialni. Między rzędami łóżeczek prowadzi mnie służąca. Są moje maleńkie. Jak wyrzeźbiona dławtem, ładna twarz Bronieczki zdrowo wygląda we śnie. A tu Manusia ta najstarsza, a tam... pochyłam się nad łóżeczkiem i nagle szyję moją namiętnym uściskiem obejmują szczupłe ramionka dziecięce... Czarne oczy patrzą z niewymownym smutkiem...

— Mamal...

I nie widziałam cię już nigdy potem Maniusiu. I nie wiem, co się z tobą stało? Z lekkomyślnością dorosłego człowieka zgubiłam na zwikłanych drogach życia to gorące uczucie twoje, dziecko, tak, jak się gubi wiele rzeczy najcenniejszych. I nie wiem dlaczego garnęła się tak do mnie twoja sierotca duszyczka.



MICKIEWICZOWSKIE PAMIĄTKI W PARYŻU

Wkrótce po przybyciu do stolicy pociągnęła mnie tęsknota na Ile St. Louis, gdzie pod Nr. 6 na Quai d'Orléans można odetchnąć Polską.

Gmach ów, dawniejsze siedlisko Tow. Historycznego, na którego posiedzenia uczęszczał jeszcze Mickiewicz mieści obecnie Bibliotekę Polską, czytelnię, wypożyczalnię książek, Biuro Opieki, oraz dwie salki przepełnione pamiątkami, t. zw. Muzeum Mickiewicza.

Wszystko znajduje się pod opieką i bezpośrednim kierunkiem nieustraszonego pracownika i najwierniejszego syna poety p. Władysława Mickiewicza.

Już na ulicy i w bramie uderza nas mowa polska, stoją tam zawsze gromadki naszych robotników, przybyłych tu po radę, pomoc, wskazówkę, lub — książkę.

W czytelnicy i w Bibliotece podręcznej znalazłam z radością wszystkie pisma codzienne, tygodniki i miesięczniki, wydawane w Polsce, encyklopedje, słowniki, wydawnictwa Akademii Umiejętności, a nawet nowszą beletrystykę.

Po zawrotnym ruchu bulwarów, po tłumie cudzoziemskich twarzy i uroku obcych ulic zdała mi się ta cicha polska czytelnia bezpieczną przystanią, czeńś w rodzaju rodzinnej strzechy.

W bezpośredniej łączności z Biblioteką znajduje się Muzeum, które robi wrażenie relikwiarza, skupiającego w sobie wszystkie pamiątki, rękopisy, obrazy, sztychy, fotografie, oraz przedmioty codziennego użytku, które kiedykolwiek miały styczność z poetą. Wszystko zebrane, sprowadzone nieraz z odległych krajów i ułożone z pietyzmem przez syna—czciela.

Zaraz na wstępie uderza nas duża fotografia z dagerotypu, przechowanego również na miejscu jedynej podobizny poety, odzwierciedlającej z całą dokładnością niezapomniane rysy. Patrzą na nas jego oczy pełne głębokiej dobroci, niezłomnej siły i rezygnacji mędrców. Siwe włosy w nieładzie, proste czoło i nos, boleśnie zacięte, wąskie usta, głowa nieco wtył odrzucona ruchem naturalnym. Takim zapewne widzieli go słuchacze na katedrze, wtedy, gdy rzucił między nich przebite przez ducha swego strzały słów, „dymiące jeszcze krwią i znojem.“

Na ścianach pod szklą wisi kilka ważniejszych listów i dokumentów, przechowywanych w papierach poety. Mickiewicz naogół nie cenil nigdy papierów, ani swo-

ich, ani cudzych rękopisów. Jako natura do gruntu aktywna przeżywał intensywnie chwilę bieżącą, usuwając, lub niszcząc z całą bezwzględnością pamiątki przeszłości, lub ślady wysiłków niezrealizowanych. Tem cenniejsze są dla nas te nieliczne przechowane relikwie.

Na pierwszym miejscu spostrzegłam z niemal m wzruszeniem ów pamiętny bilecik Maryli, naznaczający poecie ostatnie pożegnalne spotkanie.

„O 5-tej, w parku tam, gdzie mnie raniła gałąź...“—niedbałe, pospieszne pismo na żółtym papierze...

A więc przechował się ten nikły ślad owej pamiętnej chwili, niemy świadek pierwszej miłości i pierwszego pożegnania... Przetrwał burze i klęski, nie opuścił dojrzałego męża, wielkiego człowieka, ocala liczonej rodziny, który, niszcząc dalsze części „Dziadów“, zachował go razem z owym listkiem, równie historycznym, ofiarowanym mu wówczas przez ukochaną.

I zdało mi się w tej chwili, że zmartwychwstaje przedemną owa scena z przed stu laty z górą — scena z cieniatego parku w Tuhanowiczach...

...Bądź zdrów! i w długiej ulicy
Niknie naksztalt błyskawicy...

Pod ścianą ustawione małe biurczko poety, szafa z jego podręcznymi książkami, których miał zresztą bardzo mało, witryny z pośmiertną maską jego i Szopena, zaś w pośrodku sali stoją również witryny z przedmiotami codziennego użytku: brzytwą i szczotką, piórem i kałamarzem, książką do nabożeństwa, różańcem, pierścieniem... są też inne pamiątki: po Jaenischównie, Ankiewiczównie, kolegach filomatów. Jest stronka zapisana tureckim pismem, ćwiczenie dokonane przez poetę na lekcji tureckiego języka w wilie śmierci... są kwiaty z trumny, przywiezionej z Konstantynopola, jest wiele innych rzeczy.

I zdało mi się powtórnie, że widzę „Pana Adama“ żywego przy swoim biurczku w gmachu Biblioteki Arsenału, gdzie go po raz ostatni odwiedził Norwid, tak przedziwnie tę ostatnią wizytę opisując, że go widzę poprawiającego kijem węgle w piecyku, że rozmawiam z nim także aż do zachodu słońca, aż do chwili „gdy czerwono zrobiło się w oknie.“

„Ubrany był Pan Adam w futerko wytarte, szaroczkowym suknem powleczone, które skąd w Paryżu

można było dostać, tej barwy, kroju i podżyłości, pytanie ciekawe—bowiem była to zdaje się kapota jaką zagonowa szlachta zimą nosi w prowincjach dobrze od Warszawy oddalonych...“ („Czarne Kwiaty“ Norwida).

Na ścianach wiszą dwa portrety poety, dokonane przez Wańkowicza, kilka obrazów, zdobiących niegdyś jego pokój, a zauważonych i opisanych również przez Norwida, oraz cały szereg sztychów portretowych przeróżnych osób, bliższych i dalszych, przyjaciół i znajomych. Są tam wileńscy koledzy, jest pani Chłustinowa, p. Georges Sand, Michelet, Quinet, Lelewel, Czartoryski i wielu innych.

Za życia go otaczali, słusznie więc, że po śmierci podobizny ich są zaliczone do pamiątek po wieszczu.

Drugą salkę Muzeum zapełniają obrazy i przedmioty, świadczące o coraz wzrastającej czci, którą otaczano pamięć Mickiewicza. Przeróżne odlewy jego popiersia, lub głowy, między innymi projekt dotychczas niewykonanego pomnika dłuta Bourdella: Mickiewicz w pielgrzymiej szacie z kijem pątniczym w ręku, jak przysłało temu, który całe życie dążył do Ziemi Obiecanej, pod postacią Polski wymarzonej, gdzieby panowała bojaźń Boża, sprawiedliwość i braterstwo.

* * *

Wieczorem odwiedziłam państwa Władysławów Mickiewiczów na rue Guenegaud koło Pont Neuf.

Pani Władysławowa, Malewska z domu, jest zatem ciotecznią siostrą męża. „Matki—siostry rodzone, ojcowie—przyjaciele najserdeczniejsi“ — objaśnia mi starszka. Niedowidzi już i niedosłyszy, ale nie ujmuje to nic jej szczerzej, gorącej gościnności z którą przyjmuje każdego rodaka, jak swojego.

Przysiadam się do pana Władysława żadna jeszcze jakichś bezpośrednich wspomnień, przechowanych z dzieciństwa. Miłość i bezgraniczne, ślepe uwielbienie, którym pan Władysław otacza pamięć Ojca, czynią, że sąd jego niezawsze jest sprawiedliwy.

O Słowackim nie chce zupełnie mówić, zasłaniając się tem, że go nigdy w życiu nie widział; Norwida znał dobrze, ale krytykuje go surowo, twierdzi, że był zdolny, ale zarozumiały i próżniak. Nieśmiałym moim obiektem zaprzecza pan Władysław kategorycznie.

„Nie potrafił należycie wyzyskać swych talentów, powiada, nic nig-

dy nie dokończył, pisał niekiedy mądrze, zawsze zawile!

Jeszcze dzisiaj bolą pana Władysława nieporozumienia, które istniały pomiędzy Mickiewiczem i Słowackim, oraz stanowisko opozycyjne, które zajął Norwid w sprawie Legjonu Włoskiego. „Trzymał stronę księży Zmartwychwstańców”, powiada z żalem

Przypatruję się zblizka twarzy niestrudzonego starca i odnajduję rysy, przypominające tamtą twarz z dagerotypu...

Opowiada o ojcu nieznane mi jeszcze szczegóły. Gdy przed wyjazdem na Wschód Mickiewicz palił swe niewydane rękopisy, tłómaczył się tem, że napisze rzeczy lepsze, a synowi, który dzieckiem będąc, prosił o „Pana Tadeusza” odmówił go, mówiąc: „Poczekaj, nim napiszę coś lepszego”.

Kilku wspomnieniami o Witwickim i Towiańskim zakończył pan Władysław rozmowę ze mną, przytaczając dokładnie niektóre ich zdania, przymykał oczy jakby się chciał żywcem przenieść w ową odległą, a tak żywą jego pamięci epokę.

Wracalam pustemi ulicami cichej dzielnicy do domu. Bylebyśmy się godni stali tamtego pokolenia, byleby w duszy narodowej odnaleźć to „ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic”!

M. Czapka.

Paryż, październik 1925 r.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



BOŻE NARODZENIE W ANGLJI

Niema bodaj w Europie (poza Polską!) kraju, gdzieby święta Bożego Narodzenia były obchodzone tak uroczyście, jak w Anglii. Znanym konserwatyzm Anglików, ich przywiązanie do starych tradycji, nakazuje im przechowywać z pokolenia na pokolenie szereg zwyczajów, sięgających bardzo odległej przeszłości, a przytem nieraz istotnie pięknych i ciekawych.

Angielska pani domu ma przeto nie mniejsze zadanie w okresie, poprzedzającym „Christmas”, niż nasze polskie gospodynie w przededniu „Gwiazdki”. Nie piecze ona wprawdzie strucli i nie wierci maku w donicy, ale zato przygotowuje monumentalny „plum-pudding”, potrawę, której przepis znaleźć można wprawdzie w każdej naszej książce kucharskiej, ale którą strawić potrafi tylko żóładek

angielski. Ów plum-pudding (dosłownie: budyń śliwkowy) wymaga już sam przez się poświęcenia mu kilku dni czasu. Najpierw się do niego przygotowuje wszystkie składniki (a jest ich bardzo dużo i wszystkie być muszą w jak najlepszym gatunku!), potem się go wyrabia, potem się go wreszcie gotuje — co już samo wymaga około 6-ciu godzin czasu!

Wielkie znaczenie w zwyczajach świątecznych odgrywa w Anglii także dekoracja hall'u i sali jadalnej. Tradycyjnym elementem dekoracyjnym — tak, jak na północy choina i świerk — są tu ostrokrzew i jemiola, „hally and mistletoe”. Ta ostatnia jest niewątpliwie jeszcze wspomnieniem celtyckiego kultu jemioli, jako rośliny „świętej”, czczonej przez cały lud i cieszącej się do dziś dnia w niektórych okolicach Walji wielkiem poszanowaniem.

W nowoczesnych zwyczajach świątecznych utraciła jednak jemiola swój charakter czarodziejski i odegrywa rolę raczej... frywolną. Oto mianowicie gałąź tej rośliny, zawieszona pośrodku hall'u, nadaje każdemu mężczyźnie prawo ucałowania każdej kobiety w tym hall'u sam na sam spotkanej!

Dekoruje więc gospodyni angielska swój hall wieńcami ostrokrzewu, którego ciemna zieleń i purpurowe jagódki tak ślicznie odbijają od poważnych dębowych boazeryj; wieszka u pułapu pośrodku sali ową tradycyjną gałąź — nadzieję zakochanych! — i oto teraz z kolei uwagę jej pochłania ważna czynność przyozdobienia tego najważniejszego bodaj i niezbędnego akcesorium, bez którego nie mógłby istnieć hall angielski — kominka.

W rzeczy samej, kominek cieszy się u Anglików zupełnie specjalnymi względami.

Dekoracja takiej „mantelpiece” — wierzchniego gżemsu — to też roboty nielada! A potem przychodzi kolej na schody, też ważny szczegół w hall'u, bo przecież schody to stanowią rodzaj fondy de scène, i artystycznie udekorowane, wyłożone pięknymi dywanami, tworzą piękne tło dla barwnych tuiet gości, skupiających się w wieczór wigilijny koło kominka.

Na górze przystraja się salę jadalną w takie same festony ostrokrzewu przeplecionego jemiolą, a na suto zastawionym stole umieszcza się obok każdego nakrycia tradycyjną świeczkę woskową, przysłoniętą abażurem. Świece te łagodnym swym blaskiem zastępują ostre i rażące oświetlenie elektryczne.

Wieczerzy wigilijnej w ścisłym tego słowa znaczeniu Anglicy nie

urządzają, natomiast ucztą obrzędową jest Christmas Dinner — obiad na pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Menu tego obiadu musi obowiązkowo zawierać w sobie następujące tradycyjne potrawy: pieczonego indyka, pasztet z drobiu i zwierzyny, zwany „Christmas pie”, oraz słynny Plum-pudding, do którego wyrobu, wedle tradycji, musi obowiązkowo przyłożyć rękę każdy z domowników, zaczynając od pana domu. Zwyczaj ten przechował się jeszcze i w innej postaci: oto nowoobierany przed świętami w każdym mieście Lord Mayor zapoczątkowuje uroczyste wyrób świątecznego puddingu, wysypując w olbrzymią kadź pierwszą garść rodzenek i mieszając kolosalną łyżką ciasto!

Dopiero po wniesieniu do sali jadalnej owej tradycyjnej potrawy, buchającej wesołym płomieniem unoszących się nad nią oparów spirytusowych — może angielska pani domu spocząć wreszcie na laurach po pracowitych dniach przygotowań świątecznych i zasiąść wraz ze swymi gośćmi przy kominku.

Opisując zwyczaje świąteczne w Anglii nie wspomniałam jeszcze o najpiękniejszym i najbliższym nam może, — o tradycji ogniska wigilijnego, „Yule-log”. Jest to niewątpliwie przeżytek prastarego kultu słońca, właściwego wszystkim plemionom aryjskim, którego odpowiednikiem jest nasza sobótka. Aryjczycy zapalali ku czci boga-słońca w dniach przesilenia słonecznych, zimowego i letniego, obchodzonych z wielką uroczystością, olbrzymie ogniska, które powinny były palić się przez całą noc — od zachodu do wschodu słońca. Yule-log angielski, a raczej celtycki musi również wedle tradycji płonąć — niepodsyćany — aż do rana. Na rozpalony w wieczór wigilijny kominek kładzie się olbrzymią szczapę, raczej kłodę drzewa, która powinna przetrwać aż do pierwszych blasków słońca. Jeżeli zagaśnie wcześniej — zły to omen dla domu...

Oto więc cała rodzina i wszyscy goście (których tyle się gromadzi w domu angielskim podczas feryj świątecznych) zgrupowane przy płomieniach Yule-log'u. Nadchodzi chwila, w której każdy i każda opowiedzieć muszą swą własną „opowieść wigilijną”. I to konieczność o duchach! Szanujący się Anglik w święta Bożego Narodzenia przy kominku o niczem innym mówić nie potrafi. To także należy do tradycji! Zresztą, nietrudno o ducha w kraju, gdzie każdy dwór wiejski ma swego własnego „stracha domowego”, a każde

hrabstwo, każda gmina, ba! każda wioska niemal — swego „Krwawego Mnicha“, „Szarego Chłopca“, „Dame w Bieli“ i t. d. i t. d. Snują się więc długie opowieści, jedna straszniejsza i bardziej krew w żyłach mroząca od drugiej — a zimowy wichur za oknami wtóruje im swym długim, przeciągłym jękiem... Z. B.

Z TEATRÓW



TEATR POLSKI

Istnieje o nas przekonanie, że jesteśmy narodem bardzo nietolerancyjnym. Szowiniści, zacofańcy — oto najłagodniejsze epitety, jakimi obdarzają nas pewne sfery. Nic mylniejszego! Może teoretycznie chcielibyśmy bronić swojej wyłączności i czystości rasy przed przenikaniem obcych czynników, w praktyce jednak przedstawia się to inaczej: wrodzona gościnność i dobroduszość polska przemaga, robimy wyjątki, a że robić wyjątki ma prawo każdy, więc...

Inaczej w Anglii. Tam, w zasadzie żaden zawód nie hańbi (oprócz krawiectwa, o ile mi wiadomo, krawiec bowiem musi z obowiązku dotykać nóg dżentelmena), a wszyscy biali ludzie są równi. W praktyce natomiast społeczeństwo angielskie broni się przed wszystkim co obce. Broni się, powiedziałabym biernie: wymaga tylko zachowania pewnych form i konwenansów. Jeżeli chodzi o „society“ konwenansów jest tak wiele, że kto nie urodził się „perfect gentleman“, ten napewno popełni jakąś gafę — a wtedy wszyscy z czystym sumieniem odwrócą się od niego.

Jak od jednego z bohaterów komedji Galsworthy'ego, pana de Lewis'a. Jest to młodzieniec bogaty, sympatyczny, lubiany, ale — żyd. Żyd, więc nie urodzony dżentelmen, nosi zbyt kosztowne ubranie, za jaskrawe szlafroki, zachowuje się w domu prywatnym, jak w hotelu: idąc do łazienki, zamyka drzwi swego pokoju na klucz; chowa pieniądze do buta, a but do nesesera; wreszcie — sprzedaje klaczkę, którą podarował mu kapitan Dancy. Dopóki między nim a „society“ panuje harmonia, wszystko to jest zabawne, trochę „shocking“, ale możliwe do zniesienia.

Z chwilą, gdy pan Lewis, upominając się o swoją własność wywołuje skandal, towarzystwo odwraca się od niego. Pretensje pana de Lewis'a są słuszne (ukradziono mu w domu pp. Winsor 1000 funtów), ale pan de Lewis niesłusznie czyni, dochodząc swojej krzywdy. Wchodząc do towarzystwa, powinien był wiedzieć, że niewolno podejrzać nie tylko dżentelmena, ale nawet jego służby, jeśli się nie ma w ręku oczywistych dowodów; ale nawet wtedy lepiej. De Lewis nie uznaje podobnych przesądów. On żąda zwrotu pieniędzy, a ponieważ podejrzenie jego pada na kapitana Dancy — mówi to głośno. Z początku chodzi mu tylko o pieniądze; stopniowo jednak, widząc niezrozumiałą w jego pojęciu niechęć przyjaciół, dochodzi do przekonania, że nie solidarzyzą się z nim, ponieważ jest żydem. Zdaje mi się, że pan de Lewis się mylił; tym państwu chodziło jedynie o to, że de Lewis nie jest dżentelmenem. Babka pani Adeli Winsor była żydówką, a jednak

pani Adela jest lady, jest swoja i nikomu nie przyjdzie na myśl wymawiać jej domieszki krwi obcej.

W rezultacie Dancy, zmuszony przez przyjaciół (proszę zauważyć tę okoliczność), wytacza de Lewisowi proces o oszczerstwo. Niezłomnej uczciwości adwokat, popierający oskarżenie Dancy'ego, cofa się, dostawszy do rąk rzeczowe dowody winy swego klienta. Dancy przegrywa. Przyznaje się do winy. Nie wie, co go skłoniło do tego kroku. Potrzeba? (Dancy jest od 6 miesięcy żonaty. Przed ślubem miał romans z córką Włocha Picardosa. Obiecał jej odszkodowanie. Picardos nachodził go, groził skandalem...). Dancy ma bogatych przyjaciół... Pogarda i zawistna nienawiść do tego parweniusza żyda?... Dancy napewno nie wyciągnąłby mu pieniędzy z kieszeni. Ale gdy zdobyć ich przedstawiało pewne ryzyko — (skok na balkon odległy o 2 metry), w kapitane z wielkiej wojny budzi się na chwilę namienny poszukiwacz przygody. Honor armji błędnie wobec nagłej pokusy uwolnienia się od kłopotów za cenę... ryzykownego kroku, a z małą krzywdą bliźniego, przecież te pieniądze są prawie jego, de Lewis otrzymał je za sprzedaż jego konia!...

Przyjaciele chcą Dancy'emu ułatwić ucieczkę. On sam myślał o tem — ale przed procesem. Nie urzeczywistnił jednak wtedy swego planu, gdyż to podkopywałoby wiarę w niego młodej, kochanej i kochającej żony, Mabel. Dancy wraca do domu. Mabel zrozumiała. Właściwie, wiedziała oddawna, ale nie wierzyła. Płacze, ale nie rozpaczka. Nie opuści go. Przebacza mu nawet tamten romans... Po Dancy'ego zjawia się policjant. Dancy idzie do swego pokoju Strzał. „To było jedyne wyjście“ — mówi przyjaciel.

Tytuł sztuki „Lojalność“.

Pan de Lewis jest lojalny w stosunku do swoich przekonania i zasad, dochodząc swojej krzywdy na drodze prawnej. (Żyd nienawidzący anglików, budzi się w nim do piero później). Stary adwokat lojalnie — wobec prawa — zręka się oskarżenia. Przyjaciele Dancy'ego od pierwszej chwili nie zupełnie wierzyli w jego niewinność — lojalnie bronią honoru jego nazwiska i honoru armji; major Colfort lojalnie staje po stronie anglika przeciw żydowi, nawet gdyby żyd miał słuszość: tak nakazuje mu przyjaźń... Mabel lojalnie godzi się podzielić hańbę męża...

Idea tej sztuki, którą jedni z pewnością zechcą uważać za filosemicką, drudzy zaś za antisemicką, nie jest jasna. (Boy obiecał za najlepsze wyjaśnienie jej tom swoich dzieł z dedykacją). Autor nie chciał widocznie wystawić swojej bohaterki, Lojalności, na próbę zbyt ciężką, gdyby obie strony, między którymi zachodzi konflikt, należały do tej samej sfery. Dlatego, zdaje mi się, kazał panu de Lewisowi być żydem... Naprawdę, nie mogę dojrzeć w nim rycerskiego obrońcy swojej rasy, krwawego Shylocka. Że w uniesieniu woła „dumny jestem ze swego żydostwa“ — wierząc mi, dumniejszy byłby należąc do Jockey-clubu...

„Lojalność“ znalazła doskonałych od twórców w artystach Teatru Polskiego. Junosza Stępowski, którego talent tragiczny podziwialiśmy niedawno w sztuce Pirandello, przypominał nam znowu, że potrafi być niezrównanym dżentelmenem-wymowaczem. Pan Boelke był w miarę parweniuszowym, ale sympatycznym de Lewisem. Panna Mazarekówna miała śliczne momenty liryczne jako słodka Mabel, reszta zespołu z pp. Sulimą, Modrzewską, Gawlikowskim, Bogusińskim i Małczyńskim i innymi — zasługuje na słowa uznania.

Na zakończenie: sztuka godna widzenia; a nagroda wyznaczona przez Boy'a powinna być pokusą nielada...

TEATR LETNI

Paweł Geraudy jest jednym z niewielu młodych pisarzy współczesnej Francji, którego spotkał zaszczyt, że sztukę jego („Aimer“) grano w Comédie Française. To też ostatnia premiera w Teatrze Letnim zbudziła w kołach literackich zrozumiałe zainteresowanie.

Tytuł jej: „Gdybym chciała“.

Jest to bezpretensjonalna, a pełna prawdy psychologicznej opowieść o szczęśliwej parze małżonków, których miłość i wzajemne zaufanie mogło się stać mogiłą ich szczęścia.

Filip ożenił się przed 10 laty z panną Żermena, ponieważ uważał ją za uosobienie dziewczęcości i cnót niewieścich. Pokochał ją i rozkochał w sobie. Żermena nie widzi poza nim świata, ale i świat jej nie widzi. Żyją zdala od gwaru miejskiego, życiem jednostajnym i trochę monotonnym. Filip, pewny swego szczęścia, nie czyni nic, żeby je utrwalić. Żonę uważa za idealną niewinność i wierność, za osobę za bezpieczną przed niepożądanymi umiżgami innych mężczyzn. Żermenie wystarcza miłość męża. Jest szczęśliwa i nie pragnie holdów.

Zarzewie buntu i niepokoju nieci w jej sercu lekkomyślna rozwódka Marcela, wcale nie ładniejsza od Żermeny, ale mająca w sobie coś „co się musi podobać mężczyznom“. Żermena surowo moralizuje Marcelę, ale gdy z ust przyjaciółki pada niebaczne słowo: „Tobie łatwo tak mówić: jesteś inna“, w Żermenie powstaje nagłe pytanie: „A gdybym i ja chciała?“ Musi znaleźć na nie odpowiedź! Jest kobietą i chce być uważana za kobietę, a nie za ideal! Więc czy mogłaby się podobać? Z rozbijającą naiwnością dręcząc pytaniami śpiącego męża, który nie rozumie o co chodzi. Szczerze zapewnia Żermenie, że jest ona typem kobiety czystej, idealnej, o której żaden mężczyzna nie ośmieliłby się... On sam, kiedy była jego narzeczoną nigdy nie splamił jej pożądaniem. Żermena jest oburzona i rozżalona. Usiłuje przekonać się o sile swego uroku najpierw na przyjacielu kuzynka René, potem na przyjacielu męża, p. Berthier, którego Marcela usidliła jednym spojrzeniem, potem na René... Ale przyjacieli-kuzyna jest zuchwały i otrzymuje należną odprawę; przyjaciel męża, swobodny z innymi kobietami, oburza się na najmniejszą swobodę z jej strony; a René chwyta ją w objęcia w chwili gdy wchodzi mąż... Grom z jasnego nieba! Żermena! Żermena! Ta czysta! szlachetna!

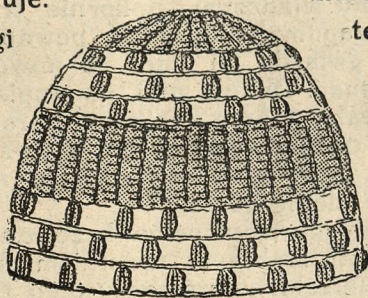
Postanawia ją porzucić. Ale przedtem wyznaje wszystko przyjacielowi. Berthier przypomina sobie dziwne zachowanie się Żermeny, radzi rozmówić się z nią.

Filip obrzuca żonę gradem obelg i wyrzutów. Zawiódł się na niej. Kocha ją. Nie może bez niej żyć. (Twarz Żermeny rozjaśnia się). Ale ucieknie od niej, chociaż Żermena jest cudna, piękna, pożądana... Tu Żermena rzuca mu się w objęcia (Powinnaś tarzać mi się u nóg, błagać o przebaczenie!) krzyczy Filip) — i wszystko się wyjaśnia.

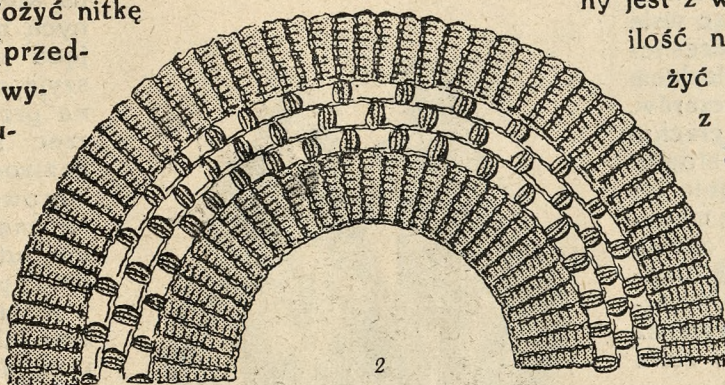
Jeżeli powiem wam, że Filipem był Jerzy Leszczyński, a Żermena Mieczysława Cwiklińska, zrozumiecie entuzjazm z jakim przyjmowano tę komedję (w doskonałym przekładzie St. Godlewskiego). Pani Cwiklińska była uosobieniem wdzięku naiwności i budzącej się kokieterji, pan Leszczyński był świętym w każdym geście i słowie. Marcela pani Gałczyńskiej zupełnie usprawiedliwiła powiedzenie młodej rozwódki o sobie, a pan Różycki był idealnym Berthier. René pana Rolanda trochę za krzykliwy, ale jakże trudno znaleźć umiar, grając niesforne, rozhukanego młokosa. P

KAPELUSZ SZYDEŁKOWY

Kapelusik bretoński, zalotny, rzucający cień na wdzięczną twarzyczkę, a przytem osłaniający dobrze głowę, zrobiony jest z podwójnej nitki wełny „Zephyr”. Składa się z pasów matowych i ażurowych, łączonych ze sobą i umocowanych na szkielecie z groeliny. Fason składa się z główki i rondka rys. 1 i 2. Zręczny pompon z włóczki przyszyty po prawej stronie kapelusza ładnie go wykańcza. Pasy matowe zaczęte na podstawie 14 oczek łańcuszkowych robi się ścięciem półslupkowym w zagonki, które formuje się wkluwając szydelko, w spodnią nitkę oczka poprzedniego rzędu, jak to rys. 3 wskazuje. Ścieg ten robi się raz na prawą, drugi raz na lewą stronę. Pasy ażurowe składają się z kratki, której sposób wykonania wskazuje rys. 4. Trzy rzędy kratki wystarczy na szerokość jednego pasa. Na kratkę trzeba zrobić kawałek łańcuszka dowolnej długości plus 4 powietrzne oczka, następnie obrócić robotę, założyć nitkę na szydelko, wkluć w piątę, przedostatnie oczko łańcuszka, wyciągnąć oczko na pętlę długo 1½ cm., założyć nitkę na szydelko i powtórzyć tę czynność 3 razy, wkluwając zawsze w to samo oczko. Skoro będziemy mieli już 4 pętelki zebrane na szydelku, założyć nitkę, przeciągnąć



1



2



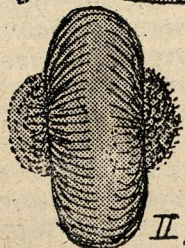
3

przez wszystkie pętle, znów założyć i zamknąć jednym ścisłym oczkiem.

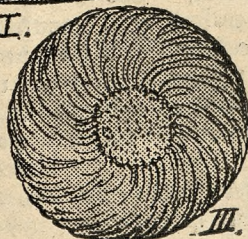
Następnie zrobić 4 oczka łańcuszkowe i powtórzyć to samo, wkluwając w piątę oczko podstawowego łańcuszka. Po skończeniu rzędu odwrócić i tak samo robić rząd następujący. Na główkę potrzeba dwóch matowych i dwóch ażurowych pasów, długość których zastosujemy do obwodu formy. U góry ściągamy się na nitkę, grubą igłą, kawałkiem jedwabiu brzeg matowego pasa. Pasy zeszywa się okrętką ze sobą, łącząc na zmianę matowy z ażurowym. Nakłada się na fason z groeliny, obciągnięty materją i umocowywa gęstymi ścięgami. Materja, powinna być tego samego koloru co wełna, z której kapelusz jest zrobiony, lub stanowić z nią ładny kontrast. Na rondko potrzeba dwóch pasów matowych, przedzielonych jednym ażurowym i ze sobą zeszytych. Nakłada się i przyczepia te pasy od spodu formy. Pompon Nr III zrobiony jest z wełny. Nakrajać trzeba dużą ilość nitki 15 cm. długich, ułożyć je równo i związać mocno z dwóch brzegów (rys. I). Splaszczyc nitki, łącząc ze sobą obie związane strony (rys. II) i, trzymając za związania formujące pompon lekko skrócić. Pompon taki można zrobić jeden lub dwa i przyszyć je na boku główki



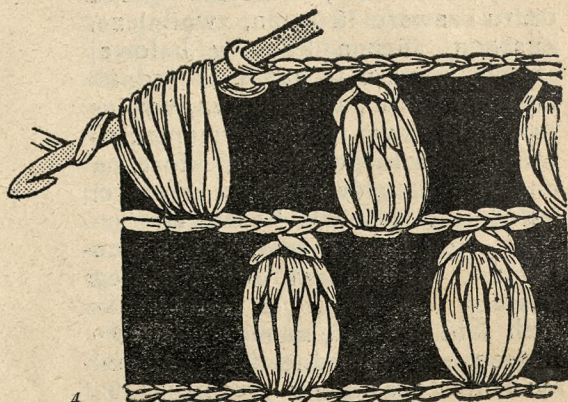
I.



II.



III.



4



KARNAWAŁ



rem tkane, miękkie, ciepłe w kolorcie aksamity, georgett'y, znaczne wzorzyćcie kwiatami z aksamitu, woale haftowane złotem w desenie orjentalne, crêpe satin inkrustowany srebrem, lub kreślony fantastycznie w łamane, barwne linje geometryczne.

Jako dopełnienie tych wszystkich cudów, królowa modnych wspaniałości... koronka. Koronka wenecka i florencka, koronka z Malique, Bruges poszarzała, o lekko żółtych tonach, jakimi naznaczyły ją lata służby i cicha drzemka w głębi kufrow, gdzie to, niby wypadła z łask tłumy władczyni, pokornie trwała w zapomnieniu, silna pewnością, że gwiazda jej musi na nowo zabłysnąć. Dokoła niej, jak wspienione fale, klosze i falbany koronkowe, cudne swą wymyślną kapryśnością, farbowane na wszystkie możliwe cienie pastelu.

Bogactwo pomysłów każddzięgać grubym srebrnym sznurkiem płową powierzchnię przezroczystego tiulu, lub rysować złocistą nicią desenie

W ciszy pierwszego śniegu, w oddalonej muzyce miarowego brzęku dzwonka, w radosnym nastroju, jaki idzie od godowej szaty, co pieściwie otuliła ziemię, rodzi się wizja karnawału! Z długiej wstęgi wspomnień, gawęd przeszłości, przeżyć, co dzisiaj należą już do historii, z hucznych buńczucznych kuligów, co niosły się z muzyką i śpiewaniem przez zaśnieżone łąny, budząc wsie i miasteczka ze snu przedwczesnego gwarem, śmiechem, blaskiem pochodni, dzwonieniem janczarów, nie zostało nic, na powierzchni zmęczonej udręką ziemi, stopiło się wszystko co jasne w ogniu lat ostatnich, pozostałaś jedynie nienaruszoną i zwycięską Ty, dawna Królowo kuligów i zapust, owianych melodją krakowiaków, oberków, mazurów, Ty, co kołyszysz teraz kształt swego strojnego ciała w takt modnych jazzbandów.

Co rok, gdy zegary uderzą na chwałę i cześć Nowego Roku, powstajesz ze snu, wiecznie pełna czaru i zawsze ta sama, zwodnicza, kusząca, śliczna Pani w balowej szacie; zawsze ta sama, a jednak co roku nowa i wspanialsza, wyciągasz „Królowo Balu” wymanicurowane rączęta po koronę, którą na ondulowaną główkę pazia włoży ci miłośnię i pieściwie Karnawał.

W zawrotnej i upojnej muzyce tanga płynię nam dzisiaj szereg postaci. W feerycznych wprost szatach. Składają się na nie najcudowniejsze, a tak modne dzisiaj tkaniny: lamy tęczą barw, złotem i sreb



fantastyczne na pajęczej tkaninie, którą niejednokrotnie obciążają kwiaty wielobarwne o aksamitnej połyskliwej powierzchni, lub motywy, usiane niby rosą poranną, pailletami, dżetem, czy perłą.

Linje tych sukien będą odznaczały się zwiewną lekkością, klosze, godety, riusze, falbany, zęby, ogromne kokardy, upinane na wzór barwnych motyli. Linja dekoltu, sięgająca z przodu prawie pod samą szyję, obnaża śmiało plecy. Główna, na przeciąg jednego wieczoru wyrzec się musi swej paziowskiej, beztrudnej lekkości, a z pod mistrzowskich rąk fryzjera, wyłoni się strojna w diadem bogaty, lub zrecnie utrefiona, misternie układanymi puklami.

Kiście rąk, strojne w bogactwo bransolet, nóżki obute w lamę, i migdałowego koloru najcieńszą pończoszkę, wreszcie wspaniałą płaszcz, tak zwana „cape”, której przepych w tym karnawale przeraść będzie najmilsze marzenia. Płaszcze, całe z barwnego aksamitu, podbijane marabutami, lub futrem, płaszcze z lamy, w tonie sukni utrzymane, strojne wspaniałymi kołnierzami z białych lisów, gronostaj, szensyli, walczyć będą o palmę pierwszeństwa. Tak mówi moda wybredna, kapryśna, a przedewszystkiem rozrzućna.

Jednak większość z jej pomysłów pozostaje tylko... na kartach żurnala mód — bo któraż z nas może sobie pozwolić na zbytki — które dyktuje moda.

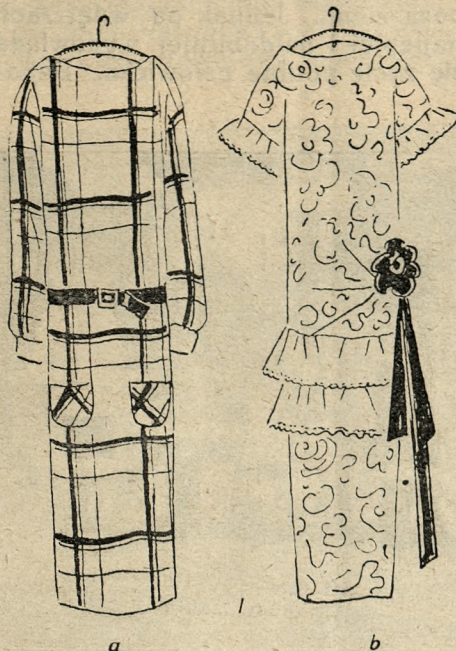
W D.



CO MOŻNA ZROBIĆ Z NIEMODNEJ SUKNI

Wobec ciągłych zmian kapryśnej mody w zapasie naszych ubrań znajduje się zazwyczaj jedna, lub kilka sukien zupełnie jeszcze świeżych, ale już niestety niemodnych i nieraz jesteśmy w prawdziwym kłopotcie co zrobić z taką niemodną suknią. Może tych kilka poniżej podanych wskazówek, jak przerobić niemodną suknię, okaże się dla niej jednej z czytelniczek pożytecznymi. Oto wybieramy dwie stare suknie Rys. 1. Pierwsza z nich

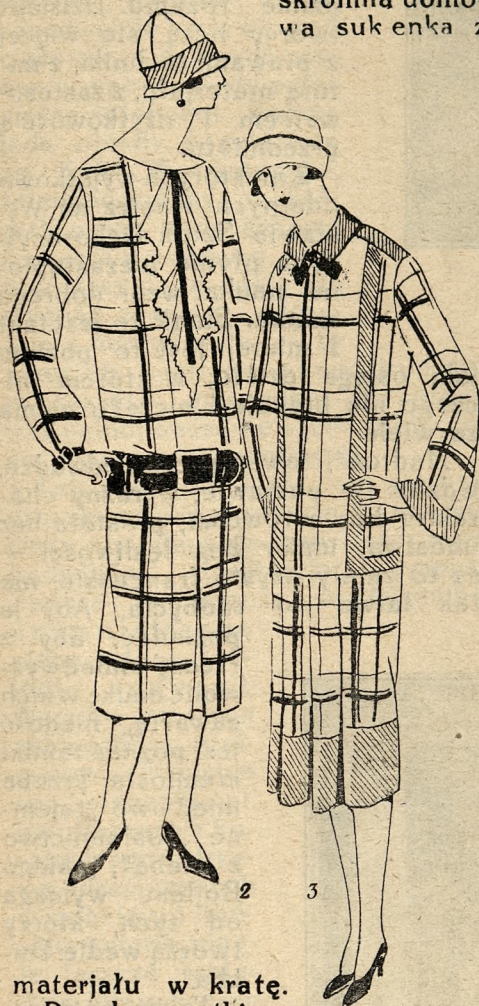
(litera a.) to skromna domowa sukienka z



nierzyk i plisy zamiast mankietów również z gładkiego materiału.

W rys 4-tym mamy zmienione rękawy i wstawiony przód z gładkiego materiału. W podobny sposób możemy wykonać przeróbkę niemodnej sukni wieczorowej.

Rys. 1 (lit. b) przedstawia suknię wieczorową, z której możemy zrobić małym nakładem suknię według ostatniej mody. Przedewszystkiem obcinamy rękawy. Następnie zmieniamy kształt wycięcia przy szyi, a u dołu z obydwóch boków wstawiamy u-



ronkowy i stworzymy typ sukni zupełnie nowej i nadzwyczaj modnej.

Jeżeli w naszych szufladach znajdzie się kawałek materiału gładkiego, suknię tę możemy zmodyfikować jeszcze bardziej. Rys. 3 i 4 wskazują właśnie taką przeróbkę. Rys. 3 to taż sama suknia ozdobiona plisą z gładkiego materiału. Z obciętego dołu sukni zrobione rozszerzenie od linii b'oder. Koł



materiału w kratę.

Przedewszystkiem odpruwamy kieszonki, pasek i mankieci, a po starannem oczyszczeniu materiału, obcinamy dół sukni, zależnie od jej długości tyle, by otrzymać wymaganą przez obecną modę długość. Następnie na wysokości bioder zaszywamy szwy tyle, żeby suknię zrobić obcislejszą, a natomiast z przodu od linii bioder wdół wstawiamy pas materiału, który zyskaliśmy przez skrócenie sukni. Utworzy to jakby kontrast, jak to widzimy na rys 2. Zamiast wąskiego paska damy szeroki pas z materiału gładkiego, lub z modnego dziś zamszu, a rękaw ujmujemy w mankiecik, zakończony kokardką. Dodamy na koniec świeży żabot ko-

kładane wachlarzyki z lekkiego materiału (Rys. 5). Inna

odmiana tej sukni, przedstawiona na rys. 6. wymaga nieco więcej dodatkowego materiału, z którego po zwiększeniu wycięcia szyi robimy małą kamizelkę, oraz dół sukni rozszerzamy wstawionym z przodu fartuszkem. Najkosztowniejszą przeróbkę przedstawia rys. 7. Dół jest zrobiony z szerokiej falbany koronkowej, ufarbowanej na kolor sukni. Żeby suknię uczynić strojnieszą możemy zahaftować koronkę złotą lub srebrną nitką

Podane rysunki i opisy, mam nadzieję, pobudzą pomysłowość czytelniczek i pomogą im każdą suknię według swego gustu przerobić. Z. M.

WNĘTRZA NA WYSTAWIE SZTUK DEKORACYJNYCH W PARYŻU

Zanim przystąpię do właściwego przedmiotu muszę zacząć od pewnej, trochę komicznej dygresji. Jeden z naszych rodaków, niedawno przybyłych do Paryża, dziwił się w prostocie ducha, że w każdym niemal porządniejszym domu istnieje skład mebli i to z wystawą nie od frontu, ale od strony sieni, lub bramy. Zagadka wprędy się wyjaśniła. Biedaczysko za wystawę mebli brał... łożę konsjerżki. Zapomniał, że w tym państwie drobnej burżuazji izdebka odzwierciedla wygląda znacznie lepiej i gustowniej od mieszkania przeciętnego inteligenta warszawskiego, który po dawnemu mebluje się u Luśniaka, albo na Pocięjowie.

Wtrącam tę dygresję dlatego, żeby dać pojęcie czytelnikowi polskiemu, czem dla Francuza jest urządzenie mieszkania, wnętrze w pojęciu komfortu, wygody i snobizmu.

Poczem daję głos panu Maurycem Dufrène, przewodniczącemu działu wnętrz na wystawie paryskiej.

„Styl nie rodzi się ani z jednego dzieła, ani z jednego motywu, ale emanuje z zespołu dzieł pokrewnych, związanych wyższym duchem, który, wyrastając ponad zwyczaj i potrzebę, zabarwia, ożywia, nadaje właściwe piętno epoce.

Między wszystkimi sztukami bez względu na ich naturę istnieje powinowactwo wyrazu i zasad konstrukcyjnych. Melodja „chaconne“, lub gawota ma ten sam styl co krynolina, lub konsolka współczesna, podobnie jak celowe dysonanse jazz-bandu wyszły z tej samej szkoły, co wyszukane załamania brył kubizmu. Urządzenie wnętrz nie może, pomimo wszystko, zamknąć w sobie całkowitej estetyki współczesnej, gdyż pewne działy sztuki, jak muzyka, taniec, literatura, stoją

poza niemi. Jednak na wnętrzach najlepiej i najdobitniej wypowiada się życie poufne człowieka. Deko-

techniki. Architektura bowiem jest nie tylko nauką o wznoszeniu budynków, ale sztuką, mającą na celu spożytkowanie materiału zgodnie z jego naturą. Struktura platynowego pierścienia opiera się na tych samych zasadach, co budowa mostu, lub pałacu. Streszczając się, powiemy, że sztuka dekoracyjna w r. 1900 obracała się w dziedzinie fantazji; w r. 1925—w dziedzinie rozumu. Dzisiejsi twórcy liczą się więcej z prawami techniki, z naturą materiału, z zastosowaniem i użytkowością przedmiotu.

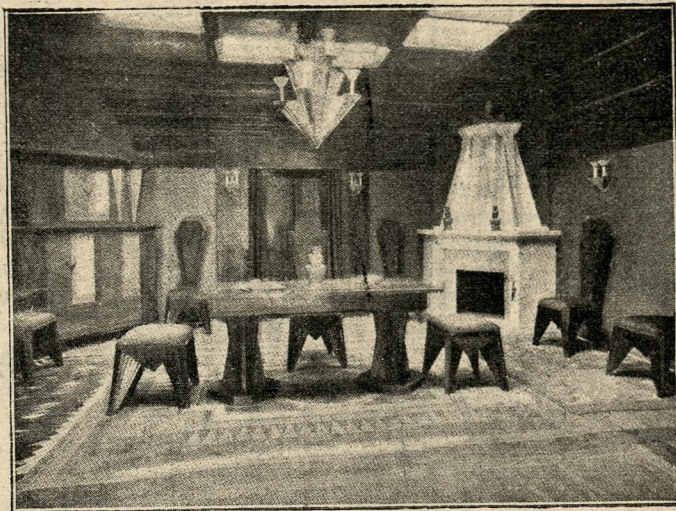
Z niektórych wyjątkowo udatnych wnętrz na Wystawie Sztuk Dekoracyjnych płynie niezastąpiona nauka: wzór dobrego smaku. Smak to jest takt i miara; jest to poziom

jaki osiąga dzieło, w którym niczego nie brakuje i niczego nie ma za wiele.

Mądrość, towarzysząca odwadze, wdzięk w postawie, wyraźny charakter bez surowości, prostota bez ubóstwa, umiar bez lęklności — są to zalety czysto francuskie, nie tak łatwe do zdobycia. Aby je posiadać, aby z rzeczy umieć wyzłocić naukę w nich zawartą, niedość jest poznać tajniki rzemiosła. Trzeba mieć owo „tajemne posłannictwo z nieba“, jakiego Boileau wymaga od tych, którzy tworzą wedle Du-cha.

Takim poetycznym zwrotem kończy wybitny dekorator francuski Maurycy Dufrène, przewodniczący klasy wnętrz na Wystawie Paryskiej, swój komentarz do albumu wnętrz. Pozwolił sobie przytoczyć najciekawsze momenty tego wstępu, gdyż cha-

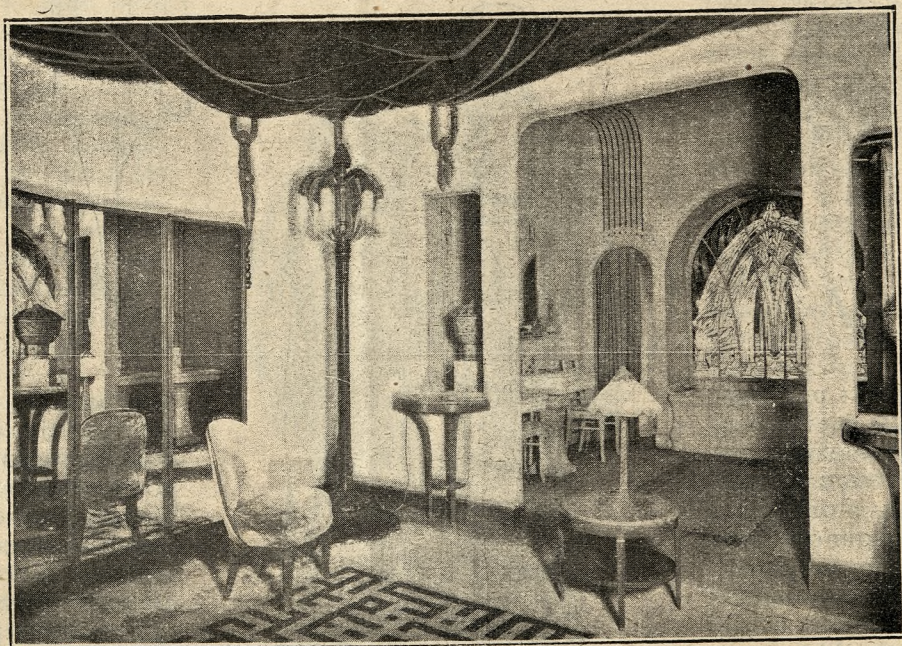
rakteryzują one może nie tyle samą wystawę, co stosunek organizatorów do nowej sztuki. Wbrew awangardowym hasłom, głoszonym przez pana Dufrène, dekoratorzy fran-



Pokój do pracy — projekt Mieczysława Kotarbińskiego.

ratorzy są historykami bardziej dokładnymi od literatów.

Cokolwiekby się dało tu powiedzieć za, lub przeciw, jest faktem oczywistym, że sztuka stosowana, czy przemysł artystyczny jest ściśle związany z modą. Czasem on nią powoduje, czasem ona go ujarzmia. Niezaprzeczalna większość sztuki



Ubieralnia — projekt architekta A. Barberis

stosowanej z 1925r. polega na tym, że jej twórcy świadomie oparli się na architekturze, to znaczy na zasadach ścisłej konstrukcji i kompozycji, na racjonalnej znajomości

cuscyc operują jeszcze ciągle znacznie chętniej i swobodniej linią i ornamentem, niż brylą.

Nad całym dzisiejszym pokoleniem wewnątrz francuskich ciążyą dziedziczne grzechy przeszłości. Prześliczne w swoim rodzaju, wdzięczne, kuszące, wygodne, uperfumowane i upudrowane, ale pod kątem współczesności — grzechy. Te rzekomo stylowe sypialnie z olbrzymim niskim łóżem, zachęcającem raczej do orgji, niż do uczciwie zarobionego s-u, te pompatyczne jadalnie o masywnych stołach, które zapewne nie ugną się pod ciężarem rodzinnych sreber w epoce, kiedy przeciętny inteligent Parvża jada obiady à prix fixe za 3 fr. 75 centymów, te zimne salony, w których nawet obowiązkowa tancerka z marmuru, albo brązowy faun zdają się stygnąć z nudy, a czasem z obrzydzenia, — to przecież potworne anachronizmy w czasach, gdy pokój do pracy jest najodpowiedniejszym miejscem do ugaszczania przyjaciół.

Tak niestety. Nad całą niemal, uroczą zresztą, kolekcją francuską, ciąży nieubłagane przeszłość: style Ludwików, dyrektorjat, empire. Zawsze to jeszcze są te same, pozmnieszczone nieco salony Tuilerji, sypialnie Wersalu, zadyszne gabineci z Malmaison. Francuzi są niepoprawni. Na ołtarzach z kosztownego drzewa, udrapowanych w gobeliny i ljońskie materje, ciągle jeszcze składają ofiary bogom zbytku, komfortu, obfitości i rozkoszy. Czasem nie-dobrze mieć zbyt wykwintnych antenatów, nawet gdy się ich własnoręcznie prowadziło na szafot, albo przezornie ułatwiał im się podróz zagranicę. Pod czarem tradycji zapomina się dla kogo się tworzy, dla królów z bajki, dla bogaczy, czy dla mas? Na zapytanie, kogo, właściwie mówiąc, stać na takie zbytkowne wnętrza, jakiś złośliwy dowcipniś odpowie-

dział: „pierwszorzędną kokotę, do której przychodzi się na herbatę między 5-tą a 7-mą“. Wyrażenie mocne, ale cios trafnie wymierzony. Nad wewnątrzami francuskimi unosi się duch korupcji i schyłkowości. Działają one zmysłowo, łaskotliwie,

nad eksponatami innych krajów prostotą linii, świeżością pomysłów, pogodą wyrazu i słonecznym kolorytem. Jasno się robiło i dobrze na duszy człowiekowi, który zajrzał w to wnętrze sarmackie. A przytem ten takt i umiar, to hamowanie się w rozpędzie finansowym, wszak jesteśmy narodem na dobroku i tradycje Stanisławowskie nie zaćmiewają nam spojrzenia w przyszłość, która musi być królestwem pracy.

Darujemy Kotarbińskiemu jego krzesła, na których boleśnie byłoby siedzieć, a przypominamy sobie to, co z zachwytem powtarzali francuzi:

— „Dopiero wy, polacy, pokazaliście nam, co to jest drzewo!“

Wprawdzie pan Dufréne prześlicznie mówi o wykorzystaniu materiału zgodnie z jego naturą, ale są to „pia desideria“. W meblach francuskich

jest smak, wdziek, komfort, jest barwa i tkanina, tylko drzewo się gdzieś zapodziało.

Przepracowano je, przekomponowano, uszlachetniono, ucywilizowano do tego stopnia, że można je wziąć za metal, kamień, kość, majolikę, lakę, tylko nie za drzewo. Zostało z niego tylko ciało. Dusza uleciała.

Tę przedwcześnie zdebronizowaną i wycnaną duszę drzewa odnajdziemy w działach polskim. Tam ona króluje wszechwładnie i ma godnych wyznawców.

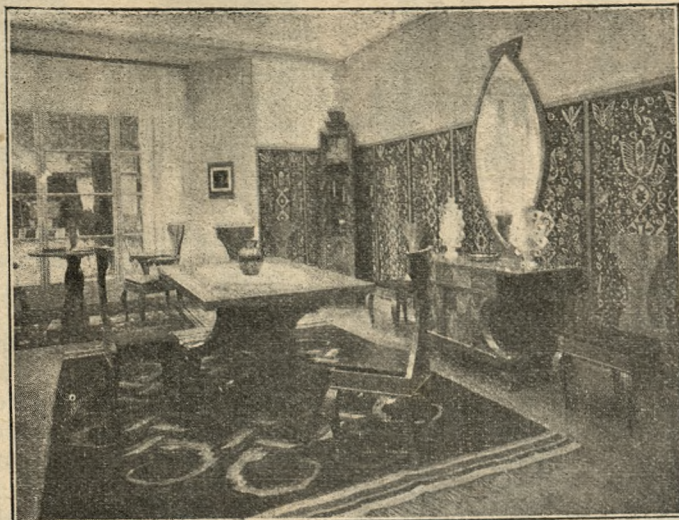
Nasz czarny dąb, na kamień stwardniały i okrzepły w nurtach Wisły, nasz skromny świerk, nasz jesion prastary upomniały się o swoje prawa.

Przyszły jeszcze raz do głosu nad Sekwaną bory, szumiące nad Wisłą i Wilją, nad Bugiem i Dunajcem, bory, sta-

nowiące bogactwo i przyszłość Polski. Biedne, skazane na śmierć bory!

Paryż, listopad.

Stefanja Podhorska-Okołów.



Pokój jadalny — projekt A. Jastrzębowskiego.

rozmiękczaająco, raczej na dotyk, niż na wzrok, raczej na naskórek, niż na intelekt.

Pod tym względem na tle francuskim niesłychanie korzystnie odbijają wnętrza niektórych otokrajowców, w szczególności duńskie i polskie. Danja wykazała dużą dozę szlachetności i powagi,



Sypialny pokój — projekt Maurycego Dufréne.

niewiele może przeciągniętej aż w ponurość, wskutek nadużycia ciemnego drzewa, jako materiału i zestawień czarno-białych w dekoracji. Zato Polska góruje bezprzecnie

Wszecławia-
towa wojna
wpłynęła na
ewolucję lalki.

Lalka przed-
wojenna z lal-
ką epoki dzi-
siejszej mają
szereg cech
wspólnych, ró-
żnią się jednak
od siebie, tak
podstawowo,
jak kobieta z
lat tysiąc dzie-
więćsetnych od

kobiety doby obecnej. Zresztą nie
traktujemy lalki, jako istoty martwej.

Była nią kiedyś, była nią... przed
wojną. Stereotypowy uśmiech, który
przywarł do tej puciołowatej buzi
porcelanowej, blond, lub krucz-
peruczka, mniej, lub więcej wybujałe
kształty, sztywny w przegięciach
korpus, oto cechy charaktery-
styczne lalki ubiegłego stulecia.
Małym dziewczynkom z przed lat
piętnastu śniły się tylko uśmiechy,
to też i lalki ich uśmiechały się
jasno, a promiennie...

To co przyszło później zmieniło
oblicze lalek, zdarło im bezduszną
maskę, naznaczyło ich malowane
twarzyczki jakimś wszechwiedzą-
cym, a tajemniczym uśmiechem,
włożyło w skrzywienie warg kar-
minowanych zarodek bólu i nieme,
a smutne pytanie. Bo też stały
się one niejednokrotnie skarbnica-
mi wspomnień i jedynym łącznikiem
ze słoneczną, minioną przeszłością,
padały na ich fryzowane głów-
ki łzy tułacz, tuliły je do drżą-
cych serduszek rączyny zmarznię-
te, a całowały głodne usteczka.
Czy mogły lalki zachować bez-

LALKI



dusznosc lat dawnych i uśmiech
stereotypowy, zapożyczony od
dziewczynek, którym śniły się tyl-
ko aniołki?

Mamy więc dzisiaj całe szeregi
nowych postaci w tym światku
lalek, który w zbliżającym się
okresie Świąt Bożego Narodzenia
drga ożywieniem i triumfalnie wkra-
cza na widownię.

Dawniejsze skromne pożądan-
ia, których szczytem był aksamitny
niedźwiadek, zataczają szerokie
kręgi.

W godzinie zwierzeń, kiedy mrok
błąka się po kątach zacisznego
pokoju, pragnienia krystalizują się
łatwiej i śnielej. Niewypowiedziane
dotąd, znajdują formę, a królują
w nich zawsze lalka.

Rozmarzone oczęta śledzą jej
kształt. Pudrowaną główkę marki-
zy, smętny uśmiech Pierrota, Co-
lombiny wdziek subtelny, barwne
wstążki krakowianki, guńkę górala,
krucze sploty cyganki, o zagadko-
wej źrenic głębi, śpiączaste krasno-
ludków czapy, czarność murzyńskich
twarzyczek, o lśniących białkach
wywróconych oczów, cały zacza-

rowany świat,
wśród którego
wybór jest tak
trudny.

Błaha napo-
zór sprawa,
„Sprawa Lalki”,
jest głębszą i
ważniejszą, niż
z pozoru sądzić
można. Lalka
jest tak ściśle
związana z
dzieciństwem
naszych córe-
czek, tak wiel-

ką gra rolę w ich rozwoju, tak
silnie zrasta się z młodocianą eg-
zystencją, że przez to samo i wy-
bór jej staje się rzeczą ważką, wy-
magającą głębszego namysłu, a kie-
rować nami winno zrozumienie
i odczucie indywidualności dziec-
cej, oraz baczenie na to, by w krąg
ich myśli, uczuć i zabaw nie wpla-
tać miernej brzydoty.

Lalka może być najskromniejsza,
nie może jednak być brzydka.

Dla wielu dziewczynek najdroż-
szą i najczęściej cenioną jest lalka,
którą same robią. Niezdarna pry-
mitywna kukielka ukręcona z gał-
ganków, zaledwie przypominająca
kształt ludzki, jest nieraz najdroż-
szym skarbem i najmielszą zabaw-
ką małej właścicielki.

Ten budzący się instynkt twórczy
należy i szanować w dziecku i roz-
wijać go, starając się dopomóc
mu do zrobienia lalki coraz ładniej-
szej, tembardziej że dla kogoś zręcz-
nego nie jest to rzeczą zbyt trudną.
Wszystkie lalki, których podobizny
podaliśmy tutaj, nie są „fabryczne”,
lecz zrobione ręcznie i gdyby wśród
naszych Czytelniczek znalazło się



dużo interesujących się tą sprawą, moglibyśmy zorganizować kurs wyrobu lalek, aby podzielić się naszymi wiadomościami z tej dziedziny i nabytem doświadczeniem.

Prócz modnych dzisiaj lalek charakterystycznych, wśród których są prawdziwie piękne i artystyczne, prócz tych lalek, które tak dekoracyjnie zdobią dzieciinne pokoje, każda dziewczynka musi mieć lalkę inną, dostępniejszą dla jej wyobraźni, lalkę, dla której jest troskliwą matką, którą układa do snu, ubiera i rozbiera, dla której szyje, pierze, prasuje, w którą wkłada cały ogrom czułego starania. Jak w maleńkim jej serduszkach czeka chwili rozkwitu.

Przytem lalka w życiu dziewczynki łatwo służyć może, jako pomocniczy czynnik pedagogiczny, wymagać będzie systematycznych starań swej młodocianej opiekunki, która pod kierunkiem matki, czy wychowawczyni, takim pogładowym sposobem nauczy się ładu i dbałości.



Nawoływanie i ciągle upominanie dziecka męczy je, nuży i wywołuje niejednokrotnie wprost prze ciwny skutek, nagięcie do porządku, dbałości i zapobiegliwości połączone z zabawą i rozrywką muszą odnieść skutki dodatni.

Dziewczynka, którą nauczymy wietrzyć codziennie pośiel lalki, zmieniać ją, gdy tylko okaże się nieświeżą, przeglądając jej miniaturową bieliznę, prać ją, prasować i naprawiać, szyć jej sukienki własnymi rączkami i własnym pomysłem, z resztek robić zręczne fartuszki, czepeczki, obrybiać maleńkie chusteczki do nosa, robić szydełkiem sweaterki i kapturki, jednym słowem roztoczyć nad nią pieczołowitość macierzyńską, ujętą w rozumne karby systematyczności, odnajdzie w sobie kiedyś te wszystkie umiejętności, nabyte pół żartem w najmilszej dla niej zabawie, jako bezcenny walor, w chwili, kiedy życie złoży w jej niedoświadczone ręce, największy skarb kobiety — pierwsze dziecko.

N...ska

JAK UBRAĆ CHOINKĘ

W nastroju Świąt Bożego Narodzenia ostatnie słowo przypada św. Barbarze, która może dać mroźną, rzeźką, słoneczną pogodę lub też rzucić cień melancholji i smutku, jaki idzie od rozplakanego słońca nieba.

„Święta Barbara po wodzie, Boże Narodzenie po lodzie” i odwrotnie, mają ważkość i nienaruszalność prawa, któremu wieki nadały piętno nieomyślności. Jeżeli czasem przysłowie, ta mądrość narodów, zwiedzie liczne rzesze wyznawców, wybaczyć mu to trzeba, w imię prawdy która mówi: niema reguły bez wyjątków, a z kapryśną zmiennością aury lat ostatnich, nie dziw, że i święta, niejednokrotnie poradzić sobie nie może.

Nowe teorie uczą, że wiara w powodzenie przyciąga dobre prądy i pomyślność sprowadza, zatem wybiegając myślą naprzeciw Świąt, co zbliżają się z szybkością ptaka, wierzymy w ich słoneczność i pogodę i szukamy się do przeżycia chwili beztrudnego wytchnienia.

Jasnym punktem Świąt Bożego Narodzenia jest choinka.

Dzieciom pozostaje z roku na rok promiennym wspomnieniem, które góruje nad wszystkimi innymi radośnymi chwilami, wspomnieniem najjaśniejszym, wspomnieniem, któremu nic czarem dorównać nie zdoła.

Choinka, strojna i świetna jasnością, znaczy sobą każdy rok egzystencji dziecka, nie powszednie jednak nigdy, jest w niej zawsze nowy urok, nowy smak, jest ona niby zaczarowane źródło, co bije żywym tętnem radości dziecięcych snów, spełnionych marzeń i oczekiwań.

Refleksy zachwyty, jakim płoną oczy dzieci, gdy przez szeroko rozwarte drzwi tajemniczego pokoju uderzy w nie smuga światła i specyficznej, a rozkosznej woni, padają i w serca starszych, którzy odnajdują w tej słoneczności nastroju, coś z dawnej, minionej przeszłości, coś co pozwala im odrzucić brzemię lat przeżytych, zachwycać się razem z dziećmi.

Nad Świątami, które idą za wiśnię w tym roku ciężar biedy i braków, jakie podkopują poszczególne rodziny i społeczeństwo całe,

wysiłek nasz jednak powinien być skierowany usilnie ku uratowaniu wieczoru Wigili nego od tego piętna zniechęcenia, jakie odbija się dzisiaj tak wszechwładnie na życiu wszystkich.

Nie wolno nam pozbawić dzieci naszych uśmiechu i dlatego, nie mogąc zdobyć się na wydatki, które w innych latach dostępne, dzisiaj są niby owoc zakazany, dołożymy wszelkich starań, aby własnymi domowymi siłami, sprostać zadaniu i ustroić drzewko.

Jednym z niezawodnych środków przy ubieraniu choinki jest wata. Cieniutko rozciągana wzdłuż gałązek świerczyny, spowija drzewko w biel śnieżną i nadaje mu urok specjalny. Jeżeli warunki nasze układają się tak, że nawet wydatki na papiery kolorowe, bibułki, paciorki, barwne, pierniczki i cukierki stają się wysiłkiem niemożliwym, ubierzemy drzewko w ten sposób, aby przy każdym lichtarzyku wpiąć kokardkę o długich końcach, związaną z bibułki ciętej na kształt wstążek, porozwieszać maleńkie jabłuszka, poczem spowić całe drzewko łańcuchami, robione-

mi z kawałeczków prostej słomy, łączonych różnokolorowymi gwiazdkami, wycinanymi z bibulek i wraz ze słomą, na nitkę nawłóconymi, otulmy gałązki w cienko rozpostartą warstwę waty, a od gwiazdy, czy aniołka, osadzonego na wierzchołku pociągnijmy w różne strony nitki srebrne i złote, które w świetle zapalonych świeczek roziskrzają się niczem gwiazdy na niebie. Ta z reszta co ma dar twórczy i zdolność wykonywania lekkich, zręcznych cacek, które przy pomysłowości dadzą się zrobić niewielkim nakładem kosztu i pracy, może własnym przemysłem ubrać choinkę ślicznie i artystycznie. W pierwszym rzędzie, jako czynnik pomocniczy nasuwają się wszelkiego rodzaju wycinanki, które łącznie z wydmuchiwanymi skorupkami od jajek służą wyobraźni naszej, niczem posłuszna glina palcom rzeźbiarza. A więc dzbany znaczony misternym rysunkiem barwnej wycinanki, jakieś fantastyczne ptaki z ogonami z prawdziwych piórek, złote rybki o łusce wycinanej z lśniącego papieru, pozłociste kule, znaczony arabeskami dwuwiecznych linii, wreszcie, tak modne dzisiaj laleczki... potworki, którym za korpus służy skorupka od jajka, a maleńkie nóżki z patyczków i pociesznie wykrzywiona twarzyczka o zezujących oczach, namalowana kilkoma pociągnięciami na okrągłym skrawku białego białego sukna zrobionych, maleńkie krasnoludki w spiczastych czapkach z długimi brodami z nitki lnu czesanego, krasnoludki, przenoszące dzieci w świat bajek czarownic.

Murzynki, ukazujące w szerokim uśmiechu rząd białych, jak ser, zębów, połyskujące białkami wywróconych oczów, baletniczki w rozwianych, króciutkich spódniczkach z resztek illuzji, lub poprostu z kolorowych bibulek lepionych, pajace, pierroty, colombiny i cały świat bajek, który w tę noc cudowną, dziwną ożywiony mocą, wcielił się w kształt uchwytny, aby cieszyć sobą roześmiane i ciekawe rzesze dziecięce.

Łatwiejżemi do wykonania ozdobami, które nie wymagają specjalnych uzdolnień, a jedynie starannej systematyczności, są najróżnorodniejsze koszyczki z bibulek, począwszy od zwyczajnych siatek, które wycinane w bibułkowych kwadratach, a obciążone orzechem włoskim, wyciągają się w długi, kształtny, siatkowy koszyczek, a skończywszy na dziesięciokrotnie składanym pasku bibułki, starannie

równomiernie i możliwie najdrobniej nacinanym, który owinięty dokoła maleńkiego pudełeczka wielkości srebrnej złotówki i ufryzowany na nożu, daje wrażenie astra, lub chryzantemy, a kryjąc we wnętrzu swem kilka maleńkich cukierków, staje się pociągający i tem cenniejszy. Parasoleczki, osadzone na wykalczkach, zdobnych w maleńkie kokardki, parasoleczki otwarte, lub złożone, znaczony barwnymi szlakami, z różnokolorowych bronzów, na podłożu gumy arabskiej sypanymi, dalej orzechy złożone i srebrzone, szyszki różnobarwnie farbami olejnymi malowane, kokardki z łowickich wstążek, o typowych cechach samodzielnego pasiaków, za pomocą ciętych i nalepianych bibulek do złudzenia naśladowane, gwiazdy z promieniami lepione z trójkątów, w barwach, gustownie dobieranych i łączonych, wreszcie łańcuchy, które tak ślicznie wykańczają bogato obwieszone drzewko, a zastępują dzisiaj dawne sznury szklanych paciorków, które ze względu na swe zagraniczne pochodzenie coraz mniej bywają w użyciu. Łańcuchy najprędsze do wykonania i najłatwiejsze są z kawałków prostej słomy, nawlekanych na nitkę i łączonych różnobarwnymi gwiazdkami bibułkowymi, ślicznie i lekko wychodzą też łańcuchy z kółek, wycinanych z różnokolorowego papieru, podwójnie złożonego, tak, że kółeczko ma jedną stronę nierozciętą i rozłożone łatwo jedno w drugie się wkłada, dzięki czemu unikamy lepienia. Jeżeli drzewko jest duże, a przygotowane ozdoby nie wystarczają do całkowitego zapełnienia, które jest nie-



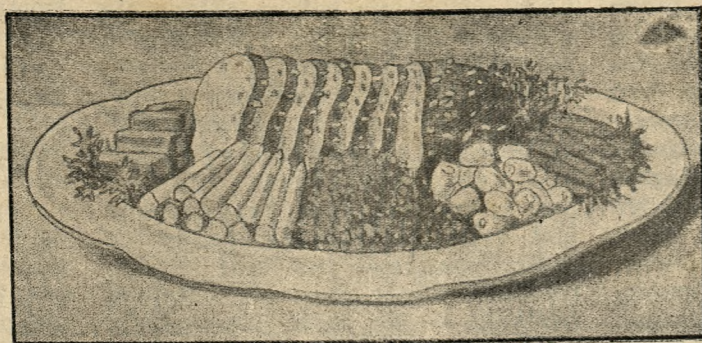
odzownym warunkiem osiągnięcia prawdziwego efektu, można temu łatwo zaradzić, rozwieszając maleńkie rumiane jabłuszka, które równocześnie służą do obciążenia gałązek i nadania świerkowi ładnego rozłożystego kształtu, i kokardki z bibułki, konieczne w jednym tylko kolorze, np. koralowym, lub blade niebieskim, które przypięte do lchтарыków, podnoszą efekt i strojność drzewka. Rozpostarcie waty cieniutkimi warstwami dokoła pnia choinki i wzdłuż jej gałązek, osypanie całości garścią kwasu bornego, który tak ślicznie lśni się w świetle świeczek, wreszcie osnucie całego drzewka srebrem i złotem nitki, dadzą świerczynie cechy strojnej choinki, pomimo, że złożyla się na nią jedynie praca rąk kochających, które pragnęły wywołać uśmiech szczęścia na ukochanych twarzyczkach, a nie mogąc zdobyć się na wysiłek materialny, złożyły w darze trud szeregu wieczorów, kiedy wśród ciszy uśpionego domu, łowiąc uchem bicie maleńkich serduszek swej śniącej o gwiazdce gromadki, stwarzały cuda, ożywione siłą, co zdolna jest pokonać największe trudności—miłością.

ESTETYKA W PODAWANIU POTRAW

Najskromniejsza potrawa, ładnie podana i dobrze przyprawiona, lepiej smakuje, jak wspomniała, niedbale przygotowana i byle jak rzucona na półmisek, bo niedość smacznie nawet ugotować, trzeba jeszcze umieć ułożyć zgrabnie potrawy i przybrać tak, aby swoim pozorem zachęcały do jedzenia. Warunki wykwentnego jedzenia są rozmaite, główne są następujące: nie kłaść nigdy za dużo na półmiski, których brzegi powinny być wolne, ubrane listkami pietruszki fryzowanej, sałaty, jarmużu i t. p. Półmiski muszą być ogrzewane, aby potrawy nie krzępły.

Mięso gorące kraje się na plastry średniej grubości nie wzdłuż, lecz w poprzek włókien, tak krajane jest smaczniejsze i ładniej wygląda. Zimne mięsa kraje się jak najcieniej — układa, dobierając kolorami na półmisku i przybiera zabarwioną na różne kolory, pokrajaną w kostkę galaretką, piklami i zielonością. Sztukę mięsa, wszelkie potrawy i pieczenie oblewa się na półmiskach lekko sosem, podając większą jego ilość w sosjerkach.

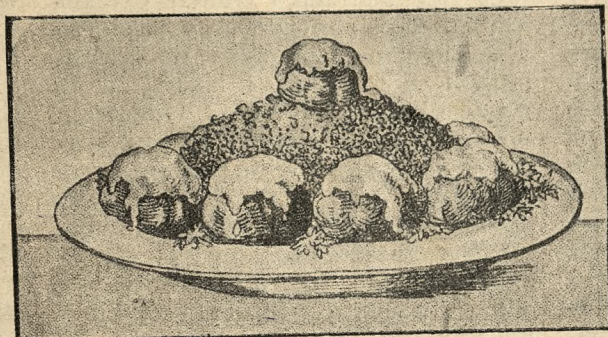
Ryby gotowane układa się na specjalnych długich półmiskach postawione grzbietem do góry — obłożone całymi kartoflami z wody i otoczone zielonemi gałązkami. W sosjerce sos, lub masło roztopione. Smażone ryby układa się na zgrabnie złożonej na półmisku serwecie, ubiera smażonemi gałązkami pietruszki lub cienko skrobanym chrzanem. Do smażonej ryby podaje się cytrynę przekrojoną wzdłuż na pół, przez długość wykrawa się wgłębienie w formie rowka, z którego krople spadają równomiernie. Trochę odpowiednich wiadomości, dobrych chęci i poczucia piękna,



1



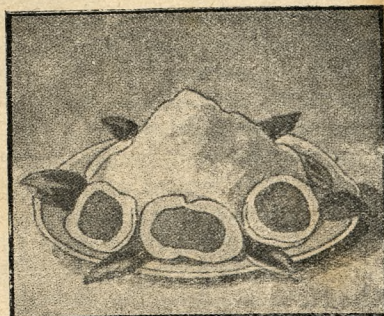
2



3



4



5

zrobia ze zwyczajnej pieczeni pociągające dla oka, smaczne dla podniebienia danie, ze skromnej sałaty z jarzyn misterny bukiet, a każde przybranie zaświadczy o dobrym guście i pomysłowości pani domu. Przytoczę tu kilka przykładów ładnie podanych potraw. Rys. 1 jakakolwiek pieczeń rumiano upieczona, ostrym nożem pokrajana na równe średniej grubości plastry — środkiem półmiska złożona w całość — garniowana krokietami, różnemi jarzynkami, ozdobiona po rogach półmiska listkami fryzowanej pietruszki.

Na rys. 2 widzimy oryginalnie wydane kotlety otaczające śnieżną górę z przecieranych kartofli, urozmaiconych w dwóch końcach zielonym groszkiem.

Na rys. 3 nęci nasze oko ryż ugotowany na sypko, zaprawiony pomidorami, okalają go całe faszerowane mięsem pomidory.

Dowcipnie podana sałata z jarzynek (rys. 4) niejednego wprowi w zdumienie.

Dla zrobienia girlandy z liści, wewnątrz których jest sałata, trzeba wziąć dużą główkę zielonej kapusty obracając z zewnętrznych brzydkich liści — wydrążyć środek tak, aby wokoło głąba został wieniec zielony, lekko sparzyć, uważając, żeby liście zachowały sztywność i ustawić na głębokim półmisku. W środek nałożyć różnych zaprawionych jarzyn, wokoło półmisek i wierzch sałaty przybrać na różne kolory zabarwioną galaretką mięsną w kostkę pokrajaną.

Mus z jabłek ładnie wygląda podany jak na rys. 8, otoczony plasterkami smażonych jabłek, napełnionych w miejsce wydrążonych pestek czerwoną galaretką owocową.

J. S.

WILJA NA KRESACH WSCHODNICH

Jest jeden dzień w roku, jeden wieczór raczej, w który jak szeroko rozbrzmieła mowa polska, jak daleko sięga kultura polska, — milkną wszelkie swary, idą w zapomnienie wszelkie rozterki, i urazy — wszyscy starają się zebrać razem i razem zasiąść do tradycyjnej uczt wigilijnej.

Tak było w czasie przymusowej emigracji, nie tylko wojennej, którą tak niedawno przeżyliśmy, lecz i wówczas, kiedy trudne warunki ekonomiczne i niemożność znalezienia pracy w kraju, gdzie wszystkie lepsze placówki były zajęte przez obcych, wyrzucały na wschód jednostki najzdolniejsze i najbardziej przedsiębiorcze. We wszystkich pięciu częściach świata są nasi emigranci, wszędzie są rozsiane małe wysepki polskości, — i wszędzie dzień Wigilii wszyscy zebrani razem spożywają tradycyjne dania, śpiewają kolędy, łamią się opłatkiem i składają życzenia, zakończone odwiecznym „dosiego roku“.

Zwyczaj początkowo religijny z biegiem lat stał się narodowym, — i dzisiaj już nie tylko katolicy, lecz luteranie kalwini i t. d. obchodzą wilję, jako zwyczaj czysto polski. Zawsze mnie pociągała myśl zebrania wszystkich miejscowych zwyczajów i obrzędów, związanych z dniem wilijnym, zwyczajów różnych w różnych częściach kraju, gdyż niestety większość naszej inteligencji czytała więcej o ludowych zwyczajach i życiu we dworach („châteaux“) w Normandji lub Bretanii, niż o tem co się dzieje na naszych Kresach Zachodnich, Wschodnich, Północnych i Południowych. W tym celu zwróciłam się do różnych moich bliższych i dalszych znajomych z prośbą o udzielenie mi potrzebnych wiadomości. Obiecali mi wszystkie — obiecały na wiosnę, przysłała jesień — nie przysłała żadna. Mogę więc pisać tylko o tem, co znam dobrze, o kresach wschodnich — jest ich dużo i dużo połać Polski zajmują. Oł cudnych, o pięknym krajobrazie, — dziś już do Łotwy należących Inflant polskich, poprzez Wileńszczyznę, Polesie i Wołyn aż na bogatą, żyzną Ukrainę, wszędzie Wilja jest obchodzona i wszędzie ma masę wspólnych, charakterystycznych zwyczajów i obrzędów.

W Warszawie znikły już tradycyjne potrawy wiljne, zostały chyba tylko ryby, — bo łamańce i śliżki z makiem, zastąpiono kruchami ciastkami, oszenica z miodem figuruje tylko w domach kresowych,

poza tem kolacja wilijna składa się z potraw dowolnych, — figurują na niej kalafjory, szparagi i groszki z konsewy, różne budynie i suflety, kremy i galarety, co właśnie pomysłowej gospodyni do głowy przyjdzie i co państwo lubią. Nie tak jest na kresach, tam każde danie jest ustalone tradycją, każde co roku jednakowo na stół wraca. Każda dzielnica ma swoje, ustalone tradycją, — ich ilość się zmienia stosownie do zamożności domu, — podstawowe są zawsze te same. Wszędzie się jada na obrusie posłanym na sianie, na pamiątkę Chrystusa Pana, który w żłobku na sianie, po urodzeniu, złożony został. Wszędzie się dzieli opłatkiem, — który organista miejscowy przez cały miesiąc od dworu do dworu, od chaty do chaty rozwozi, zbierając datki w pieniądzu i naturze, nazywa się to kolendowaniem i w większości kraju idzie do podziału między proboszczem a służbą kościelną. Często wraz z organistą jeździ i ksiądz proboszcz, egzaminuje po chatach i izbach czeladnych dzieci i młodzież z pacierza i katechizmu, zajeżdża na poczęstunek do dworu i zbiera wraz z organistą — kolendę. Odeszłam od tematu, ale zwyczaj kolendowania na służbę kościelną i swego duszpasterza jest bardzo dla całych kresów wschodnich charakterystyczny. Wszędzie siadają do wilji o pierwszej gwiazdce, której ukazania się pilnują dzieci, z wielkim wrzaskiem zwiastujące wesołą nowinę, że już można zasiąść do stołu, na którym oczekuje tyle przysmaków, przeważnie raz do roku spotykanych. Od rana do wilji, zwyczaj każe nic nie jeść, nic absolutnie, jest to post przez kościół nie obowiązujący, dobrowolny, tradycyjny i przez starsze pokolenie po wsiach i dworach surowo przestrzegany, — co o tem powiedzą panowie po miastach, którzy pod pretekstem nie przeszkadzania w przygotowaniach wymykają się na „rybkę“ — po której już wilja wcale smakować nie chce. Snopy zboża pod ścianami figurują przeważnie w południowych częściach kraju, na Polesiu, Wołyniu i Ukrainie, Wileńszczyzna i Inflanty polskie zwyczajem tego nie znają. Wszędzie prawie jest zwyczaj wyciągania po skończonej wieczerzy z pod obrusa żdźbła siana. Długość tego żdźbła stanowi wróżbę o urodzaju, czem żdźbło dłuższe, tem urodzaj lepszy. W innych znowu miejscowościach długość żdźbła ma stanowić o długości

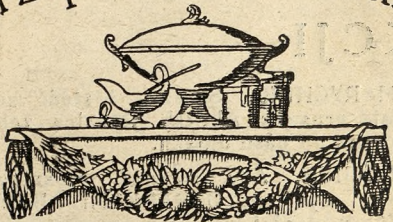
i ostrości zimy. Nakoniec dziewczyna, która wyciągnie żdźbło, które dalej rozwidła się na dwoje, może być pewna, że w ciągu roku zamaż wyjdzie. Taka rozdwojona gałązka jest jednak fatalną dla mężatki, wróży smutki domowe i nieporozumienia z mężem, o rozwodach i rozstaniach jakoś dotąd pomiędzy ludem nie słychać. Nieporozumienia kończą się przeważnie pobiciem, w którym silniejsza strona niezależnie od płci jest górą — poczem następuje — słodka zgoda. Życzenia są składane wszędzie przy przełamaniu się opłatkiem. Wszędzie członkowie jednej rodziny zdaleka nawet podążają, aby spędzić wieczór ten razem. Ludzi bezdomnych, kawalerów, panny starsze, wszelkie ciocie i wujaszki starych, nie prowadzących gospodarstwa, zaprasza się koniecznie do swego stołu. Wilje zbiorowe urządzone na obczyźnie stąd pochodzą właśnie, że polacy oddaleni od kraju, uważają się za jedną, wspólną rodzinę i jak w rodzinie w dniu tym przestają dzielić przekonania polityczne i religijne, — tak i w takiej kolonji na obczyźnie wszystkie niezgody powinny być zapomniane. Wszędzie po wilji młodzież przebiera się w dziwaczne stroje, zatyka na kiju kręcącą się gwiazdę papierową, kunszt wykonania której przechodzi z pokolenia na pokolenie, i z gwiazdą tą rusza w obchód, zaczynając od dworu i plabanji, po chatach, wszędzie śpiewając pieśni lokalne przeplatane polskimi kolendami. — Pamiętam jak w dzieciństwie pierwszy raz usłyszałam w kuchni z ust rogatego kozła (przebranie) „Wół, osieł, wół, osieł przed nim kłękają“, i uważałam, że to jest dużo ładniejsze od kolędy: „Bóg się rodzi, moc truchleje“, śpiewanej przed chwilą pod kierunkiem mojej Matki i przy jej akompaniamencie.

Wszędzie zaczyna się wilję od barszczu buraczanego lub grzybowego z uszkami — na kresach nie jadają ulbionej w Warszawie zabiłanej zupy rybnej. Wszędzie po stawie wieczerzy stanowią ryby: szczuśki faszerowane z chrzanem i sosem, karasie w śmietanie, okonie lub sandacz z jajami, karp, lub leszcz z szarym sosem, sielawy lub stynki smażone, lin w galarecie i wiele, wiele innych — po dworach i dworach; śledzie, płotki, szczupaki smażone na oleju — po chatach. Wszędzie koniecznie kapusta, duszona z grzybami na północy, w formie pierożków drożdzo-

wych i gołąbków na Wołyniu i Ukrainie. Wszędzie kucja, od której nawet w Wileńszczyźnie i na Inflantach cała wieczerza się kucją nazywa.

Na Inflantach składa się ona z jęczmienia (pęczaku), grochu, pszenicy i kisielu owsianego, toż samo w Wileńszczyźnie, i na Polesiu, na Wołyniu i Ukrainie z pszenicy i maki tylko, wszędzie się do niej podaje syta miodowa jako podlewa. Kisiel owsiany we dworach zastępowany jest żórawinowym, migdałowym lub czekoladowym z makiem makowym lub migdałowym. Ślizyki i łamańce z makiem i miodem są nietylko we dworach lecz i w chatach używane, natomiast wcale się nie spotyka specjalnie królewskich klusek z makiem. Są całe szeregi miejscowych obyczajów szczególnie tam ciekawych, gdzie ludność katolicka jest z inowierczą przemieszana, jak na Ukrainie — z prawosławnymi, — na Inflantach z Łotyszami — ewangelikami itp. Dzisiaj chodziło mi tylko o zaznaczenie cech wspólnych, dowodzących łączności kulturalnej i obyczajowej, tych przez całe stulecie od pnia ojczystego oderwanych gałęzi, siły tradycji polskiej i wpływów kościoła katolickiego. Do poszczególnych dzielnic i ich miejscowych obyczajów wrócić kiedyś, kiedy będę miała materiał ze wszystkich rubieży Polski. Zwracam się więc do wszystkich, kochanych czytelników *Bluszczu*, aby zechcieli nas poinformować o obrzędach i obyczajach wilńskich wszystkich dzielnic kraju. Wszelkie, chociażby w najprostszej formie podane notatki, byle ścisłe i prawdziwe, będą równie mile widziane i wykorzystane. *Pani Elżbieta*

Przepisy gospodarskie



MAGDALENKI.

20 deka masła sklarować, utrzyć na śmietanie, dodać pięć żółtek i 20 deka cukru, ucierać razem aż smak zbieleje i zapieni się. dodać wtedy 20 deka utartych na tarce migdałów (w tem kilka gorzkich), łyżeczkę wody z kwiatu pomarańczowego, lub w braku jej różanej, 20 deka najlepszej maki pszennej, dodać białka ubite na sztywną pianę. Na blasze ułożyć papier wysmarowany masłem i przy-

sypany bułeczką. Łyżką brać ciasto i kłaść podługne kupki, na każdą położyć pasek pomarańczowej skórki smażonej lub trochę krajanych w paski słodkich migdałów, osypać grubym kryształem i upiec w letnim piecu do lekkiego zrumienienia.

ANYŻKI.

30 deka cukru ubijać na ogniu z 6 całemi jajami, aż zbieleje. Odstawić i ubijać dalej aż ostygnie, dodać 2 deka anyżu i 30 deka dobrej maki pszennej, zmieszać dobrze. Blachę wysmarować masłem, rozciągnąć na niej masę i upiec w wolnym piecu. Dopóki gorące, krajać w długie wąskie pasy i owijać na cienkim wałku, albo grubym ołówku, aby się uformowały wiórki. Nawijać chropawą stroną nazewnątrz. Złożyć powtórnie na blachę i podsuszyć dobrze w letnim piecu.

MARCEPANIKI POMARAŃCZOWE.

Sparzyć, oczyścić z łupin i utrzyć w maszynce lub na tarce 200 gramów słodkich i dziesięć sztuk gorzkich migdałów, włożyć w duży kamienny moździerz, a w braku takowego do makutry, wraz z drobno skrajaną, usmażoną w cukrze, skórką z jednej pomarańczy i 400 gramami drobnego cukru (pudru), tłuc lub wycierać mocno dodając białka z jajek tyle, aby masa się stała gładką i dała formować dowolnie. Wyłożyć na stół posypany pudrem, robić małe gałeczki, układać na blachę, posmarowaną woskiem i zlekką podsuszyć w letnim piecu. Zamiast pieczenia w piecu można gałeczki utarzać w kakao i potrzymać godzin kilka w suchym miejscu, aby stężały.

PIERNIKI TORUŃSKIE.

(Przepis mojej babki).

Dwie kwarty miodu mocno zasmażyć, wlać ostrożnie niedużą filiżankę spirytusu, wciąż mieszając i daleko od ognia, aby się nie zapalił. Wsypać garstkę liści lawendowych suszonych i utartych drobno, łyżeczkę utartego na tarce imbiru, filiżankę drobno pokrajanej pomarańczowej skórki (jeśli używamy suszonej, należy ją wprerw ugotować na miękko). Otartą skórkę z trzech cytryn, parę łyżek anyżu, — wszystko doskonale wymieszać i gorącym zalać dwie i pół kwarty grubej maki żytniej, wprerw uprażonej do lekkiego zrumienienia. Wybić mocno łopatką, a potem wyrabiać ręką gdy już ostygnie o tyle, że można to będzie zrobić. Gdy ciasto dobrze

wyrobite, maczać ręce w piwie zmieszanem z miodem, formować pierniki i kłaść na blachy posypane mąką, tem samem piwem smarować po wierzchu, na każdym pierniku położyć pół dużego migdała, dać postać godzin parę w cieple i piec w gorącym piecu. To jest przepis oryginalny, ja oobiścić, robiąc te pierniki, dodawałam na koniec noża soli amonjackiej, rosły przez to lepiej i były pulchniejsze.

PIERNIKI ŁATWE.

Szklanka miodu, szklanka cukru, 4 jaja, 4 szklanki maki pszennej, łyżeczka korzeni tłuczonych, (głędzików, cynamonu, pieprzu angielskiego, kwiatu muskatełowego), łyżeczkę anyżu i łyżeczkę sody. Zamiesić wszystko razem na twarde ciasto, rozwałkować cienko. Stosownie do tego, czy chcemy mieć duże, czy małe pierniki, wykrawać szklanką lub kieliszkiem, układać na blachę smarowaną tłuszczem, lub posypaną mąką i piec do zrumienienia. Można je po wystygnięciu polukrować czekoladowym lukrem. *Pani Elżbieta*

OPIS SUKIEN i ROBÓT DO Nr. 51-52

978. Suknia z popielatego sukna, przybrana wełną w kratę.
979. Suknia wełniana przybrana krzyżkowym haftem.
980. Suknia z popeliny koloru parme kołnierzyk gipjurowy.
981. Palto z zamszu koloru kreciego przybrane lisami.
982. Palto z angielskiej wełny okładane fokami.
983. Palto ciemno-bronzone, przybrane skunksami.
984. Suknia codzienna z sukienka koloru bois de rose.
985. Codzienna suknia z wełny w prążki
986. Suknia z granatowej wełny, aksamitka wiśniowa.
987. Bluzka z flanelki deseniowej, przybrana pliską w jednym kolorze i guzikami
988. Bluzka z piaskowego sukienka — przybranie bronzowe.
989. Fartuszek dla dziewczynki, przybrany haftem.
990. Fartuszek z deseniowej satyny dla dziewczynki od lat 4 do 6.
991. Fartuszek z kretonu w deseń, przybrany gładką satyną.
992. Fartuszek przybrany haftowanymi motywami.
993. Fartuszek z białego opalu, ozdobiony mereżką.
994. 995. 996. Wzory na bieliznę — wielkość naturalna.
997. Wzór na makatę — aplikacja na szarem płótnie. Wielkość nat. 44x64.

PIERWSZY KONKURS „BLUSZCZU”

Pierwszy konkurs rozpoczyna dział rozrywek umysłowych. Jeśli dział ten wzbudzi zainteresowanie wśród naszych Czytelniczek, będziemy go prowadzili stale.

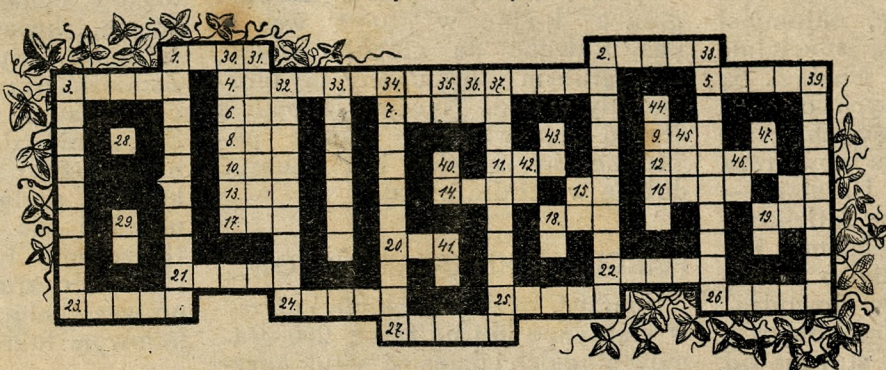
Na pierwszy konkurs składają się trzy zadania, umieszczone w trzech kolejnych numerach „Bluszczu”, poczynając od niniejszego numeru. Za rozwiązanie każdego zadania liczyć się będzie odpowiednia ilość punktów. Za ładne rysunkowe, nadające się do druku (wykonane tuszem na białym papierze) rozwiązanie krzyżówki, lub za zręczne wierszowane rozwiązanie szarady — dodatkowo 10 punktów, przyczem najlepsze rozwiązania będą drukowane. Za ułożenie krzyżówki według tego samego wzoru, lecz z użyciem innych wyrazów — mogą Czytelniczki zdobyć dodatkowo 15 punktów. Dla tych, które osiągną kolejno największą ilość punktów, przeznaczamy następujące nagrody: 1. Serwis do czarnej kawy. 2. Rozpoczętą robotę (poduszkę lub serwetkę) wraz ze wszystkimi dodatkami. 3. Kwartalną prenumeratę „Bluszczu”. Rozwiązania nadsyłać należy w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru pod adresem Adm. „Bluszczu”, Krak. Przedm. 99, „Dział rozrywek umysłowych” z dołączeniem podanego niżej kuponu.

1.

Za rozwiązanie 10 punktów.

ZNACZENIE WYRAZÓW POZIOMYCH

1. Herb polski
2. Dostojnik turecki
3. Broń
4. Czasopismo Warszawskie
5. Inacz. zasada, prawo
6. Przysłówek
7. Inacz. specjalnie
8. Prawo po łacinie
9. Poeta polski
10. Inaczej marzy
11. Rodzaj gwoźdźcia
12. Imię żeńskie
13. Zaimek
14. Oprawa
15. Karta
16. Środek do czyszczenia
17. Część sztuki teatralnej
18. Inaczej niewolnik
19. Duch kwiatów
20. Organ ludzki
21. Grupa towarzyska
22. Nazwisko wielkiego dostojnika
23. Historyczne nazwisko polnego gen. artylerji
24. Brak zawartości
25. Gatunek sokoła
26. Cezar rzymski
27. Pieniądz



Wyrazy w krzyżówce czyta się z góry na dół (wyrazy pionowe), lub z lewej strony ku prawej (wyrazy poziome). Każdy wyraz zamknięty jest między dwoma liniami bocznymi, między linią boczną i ciemnym kwadratem, lub między dwoma ciemnymi kwadratami. Liczby znajdują się na miejscu początkowej litery wyrazu.

ZNACZENIE WYRAZÓW PIONOWYCH

3. Stowarzyszenie
28. Starożytne nazwisko francuskie
29. Rzeka we Włoszech
1. Rodzaj biegu sportowego
30. Samolub
31. Ocalenie
32. Ślad, który Zosia zostawi idąc po śniegu
33. Środek lokomocji
34. Lekarz specjalista
35. Zakłęcia litewskie
40. Miara powierzchni
41. Miara w elektrotechnice
36. Oznaczenie jednostki pieniądza
37. Zawód lub urząd
42. Rzeka w Kurlandji
43. Łuk po tatarsku
18. Litera grecka
15. Rzeka we Francji
2. Miasto—obecnie inaczej przezwane
44. Inaczej mgła
45. Zdobnie imię kobiece
38. Wyznawca jednej z religij
46. Zaimek
47. Skala gamy chromatycznej
19. Litera
39. Otoczenie.

PIERWSZY KUPON

do przesłania wraz z rozwiązaniem krzyżówki.

NADESŁANE DO REDAKCJI

LABORATOIRE DES PARFUMS
ET COSMETIQUES

„PERFECTION”

Varsovie, Szpitalna 10.
Tel. 124-94.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

NAIWNEJ. Naturalny kolor i świeżość nadaje ustom płyn ROSEIN, który się nie ściera i nie plami. Zęby nabierają śnieżnej białości przy myciu ich proszkiem ALBOL. Stosując codziennie proszek ALBOL, może

Pani śmiało palić papierosy, a ręce, że ząbki nie szczerneją, tylko będą stale białe.

ZOFI K. Lepszego środka do rąk jak PATE DE PRELATS niema. Nawet najmocniej zniszczone i zaniedbane ręce doprowadzi Pani do należytego stanu, stosując PATE DE PRELATS. Po każdym umyciu rąk wetrzeć odrobinę PATE DE PRELATS, który wciera się do sucha. Jeżeli Pani chce rączki jeszcze wbielić, to na noc po natarciu rąk PATE DE PRELATS'EM obficie przypudrować pyłkiem JUVENIA CANDIDA, a rączki będą stale delikatne, gładkie i białe

MARYCHNIE. Śnieżną białość zębom nadaje proszek ALBOL. Różnicę zobaczy Pani już po paru dniach.

KALINIE. Aby uniknąć pryszczy na twarzy myć się OTRĄBKAMI ABARIDOWEMI w ciepłej wodzie, a po umyciu wcierać troszkę KREMU ABARIDOWEGO i przypudrować PUDREM ABARID. Ręce, że w krótkim czasie twarz będzie gładka i nabierze młodzieńczej świeżości

Mme Erce d'és

Skład główny środków tu podanych, Szpitalna 10 „Perfection”

Do niniejszego numeru dołączamy PROSPEKT na rok 1926 i SPIS RZECZY w roczniku 1925 roku.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Dział praktyczny pod redakcją MARIPODHORSKIEJ—OKOŁÓW.

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 99. Tel. 239-40.

